NA DNIE

STUDJUM SPOŁECZNO-PSYCHOLOGICZNE

przez

IWANA FRANKO.

Odbitka z „Przeglądu Społecznego“.

LWÓW.
„Drukarnia Polska“ ul. Jagiellońska l. 16.
1886.

I.

Po południu pewnej pięknej niedzieli wiosennej zdziwili się niepomału dwaj policjanci, siedzący w „strażnicy“ gminy drohobyckiej. Do strażnicy bowiem wprowadzono jakiegoś młodego panicza, średniego wzrostu w ubraniu zapylonem, ale dość porządnem.

— A tenże zkąd? — zapytał kapral i zmierzył młodego człowieka od stóp do głowy zamglonym od trunku wzrokiem.

— Starostwo przysłało, ma iść „na ciupas“, odrzekł policjant eskortujący panicza.

— Hm, hm, mruknął kapral i utopił wzrok w stojący przed nim talerz z ostatkami mięsa i sałaty, poczem spójrzał z lubością na pełną halbę piwa, do której się właśnie miał zabrać.

Policjant tymczasem wydobył z zanadrza papiery i podał je kapralowi. Był to wyrok starostwa. Kapral odebrał papier, rozwinął i zaczął go obracać w ręku, usiłując przesylabizować nazwisko „ciupaśnika“. Niemogąc jednak widocznie dać sobie rady z tą robotą, zapytał wprost tegoż:

— A jak się pan nazywa?

— Andrzej Temera.

— A zkąd?

— Z Tarnopola.

— Z Tarnopola? Hm! A dlaczegoż to pana z Tarnopola aż tu przysłali? Ha?

Temera, jakby nie szłyszał nawet tego pytania, stał i rozglądał się po strażnicy. Kapelusz swój i palto odłożył był na krzesło.

— Pocoś pan tu przyjechał? zapytał ponownie kapral już ze złością.

Na to Temera spokojnie odrzekł, jakby zamykając dyskusję: „Mniejsza o to“.

Kapral wytrzeszczył na niego oczy, lecz wnet się zreflektował.

— Ale nie mniejsza, proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

— Nie do was należy pytać mię o to.

Kapral poczerwieniał ze złości i ścisnął zęby.

— O, mądryś mi paniczu! a jakie pan masz rzemiosło?

— To już moja rzecz, odparł Temera i jął się przechadzać po izbie, spoglądając na przyległy ogród gimnazjalny zalany ciemną zielenią drzew, między któremi przechadzali się ludzie rozmaitych stanów w świątecznych strojach, weseli i swobodni; skąd dolatywał wesoły śmiech bawiących się dzieci, dźwięczne głosy kobiet i niewymownie luby szmer bujnej, żywej roślinności. Chmurka żalu i tęsknoty przesunęła się po pięknej, młodej twarzy Andrzeja; jakaś trwoga ściskała mu serce, usta drgały kurczowo, a oczy wciąż miał wlepione w to morze zieleni, rozkosznie świecące w słonecznym blasku.

— Ej, paniczu, bardzoś, jak widzę, mądry, choć taki jeszcze młody, mruczał kapral, tłumiąc w sobie złość i wychylając pół halby piwa. To nie dobrze, jak kto tak wcześnie zmądrzeje: nie wychowa się na świecie! No, ale teraz może pan będzie łaskaw zagościć do naszej „sali“. My tu dla takich mądrych panów mamy osobny salon, przepyszny salon! cha, cha, cha!

Temera odwrócił się szybko. Na twarzy jego malował się niepokój.

— A pan inspektor rychło przyjdzie? zapytał.

— O rychło, odparł ironicznie kapral.

— To możebym tymczasem mógł tu zaczekać? rzekł Temera, który nie zauważył był tonu, jakim kapral wymówił owe „rychło“.

— E, to wszystko jedno, czy tu, czy tam, prawił kapral, tyle tylko, że tam bezpieczniej, a zresztą paniczu, tam właściwe dla was miejsce. No, chciejże się pan pofatygować za mną.

— Ale ja bym prosił zostawić mię tu, jeśli można, błagał Temera.

— Nie można, panie, nie można, mówił słodziutko kapral, szczęśliwy, że może odpłacić pięknem za nadobne.

— Panie kapralu, wtrącił policjant, który dotąd stał milczący przy stole, toż tam ciasno, ośm dusz, możeby tego pana tu zostawić, aż pan wachmistrz nadejdzie.

— Ha, co? — wrzasnął kapral, ośm dusz? A mnie co do tego! Gdzie jest ośmiu, tam się i dziewiąty zmieści. A zresztą, kiedy chcesz, to niechaj i tutaj zostanie, ale na twoją odpowiedzialność!

— Na moją? A kimże to ja jestem, bym brał aresztanta na moją odpowiedzialność?

— No, kiedy nie możesz, to nie wściubiaj swego nosa, gdzie cię nie proszą, zakonkludował kapral i wziąwszy klucz z kołka, poszedł naprzód. Temera zabrał kapelusz i palto i udał się za nim.

Sień była obszerna i prowadziła z jednej strony na długi ganek, wyłożony trembowelskiemi płytami, z drugiej — na kurytarz. Z góry wpadało jasne światło słoneczne, aż po próg pustego kurytarza.

Ściany czyste, malowane, podłoga kamienna, pułap lekki, niesklepiony i czysto wybielony, wszystko to razem nadawało temu jasnemu kurytarzowi dość przyjemny pozór. Idąc wzdłuż tych ścian pomalowanych w zielone kwiaty i ornamenty, nikomu pewno i przez myśl nie przeszło, żeby za niemi mogło się kryć coś brzydkiego, coś wręcz przeciwnego, temu co się znajdowało zewnątrz, coś wreszcie takiego, co się zupełnie nie zgadzało z wszelkiemi pojęciami naszemi o mieszkaniu ludzkiem. To też nasz Temera spokojnie postępował za kapralem, choć trochę zadumany, nie o swojej obecnej jednak doli, lecz o dalekich, dawno minionych, a piękniejszych chwilach.

Przed samym progiem kapral się zatrzymał i zadzwonił niewielką żelazną kłódką, która wisiała u małych drzwi bukowych, czysto umytych i wcale prawie nieokutych. Długo rzucał kłódką, aż udało mu się wreszcie wetknąć klucz do dziurki. Klucz dziwnie jakoś zaskrzypiał przy obrocie, kłódka się rozwarła, drzwi uchyliły, kapral się cofnął i wziąwszy Temerę za barki, pchnął go naprzód i zawołał z pijanym śmiechem: „No, proszę“!

II.

Temera stanął zrazu we drzwiach jak osłupiały. Ciemność panująca wewnątrz, tak uderzyła jego wzrok, że przez chwilę nic nie mógł dojrzeć. Zdawało mu się, że wszedł do jednego z owych tajemniczych lochów podziemnych, o których czytał w dawnych powieściach. W ciemnej tej jaskini nie mógł na razie dostrzedz niczego i doznawał takiego wrażenia, jakby niewidzialna jakaś ręka przykuła go do miejsca. Tymczasem snać widoma ręka kaprala była silniejszą od tamtej i pchnęła go do środka, poczem zatrzasnęły się za nim drzwi tej ciemnej nory.

Temera stał ciągle przy drzwiach i rozglądał się do koła, nadsłuchując, czy też nie usłyszy ludzkiego głosu. Po niejakim czasie dopiero oko jego na tyle się oswoiło z panującym zmrokiem, że mógł dokładnie obejrzeć nowe swoje mieszkanie. Była to ciupka, mająca sześć kroków wzdłuż, a cztery wszerz, o jednem małem, zakratowanem okienku. Okienko to wybite było wysoko, prawie pod samym pułapem i wychodziło na ganek, tak, iż przez nie widziałeś tylko zczerniałe od starości gonty i łaty daszka, którym kryty był ganek. Słońce nigdy tam nie zaglądało. Po ścianach kaźni brudnych i niechlujnych nad wszelki opis ściekała wilgoć. Asfaltowa podłoga, mokra od porozlewanej wody, pokryta była błotem, niewiedzieć kiedy jeszcze naniesionem. Drzwi nawet ze środka nie wyglądały tak niewinnie, jak po tamtej stronie; przeciwnie, czarne były od wilgoci i okute na krzyż dwiema grubemi sztabami

żelaza, a nawet mały, czworoboczny otwór wycięty snać dla wentylacji, zatkany był deską i skoblem zabity. W pośrodku kaźni stało wąskie, żelazne łóżko z wilgotnym i brudnym, jak całe otoczenie, siennikiem, wypchanym dawno niezmienianą, przegniłą słomą. W kącie, pod ścianą stało drugie takie same łóżko. Nie było tam ani prześcieradła, ani nawet zwykłej aresztanckiej poduszki ze słomy. Powietrze było gęste i zgniłe, gdyż ani okno, ani drzwi nie mogły wpuszczać dostatecznej ilości świeżego powietrza. W kącie zaś pode drzwiami stał znany aż nadto wszystkim aresztantom „kibel“, przykryty od biedy szczerbatą, nieprzystającą pokrywką, a wydobywające się z niego zabójcze wyziewy zapełniały całą kaźnię i otaczały wszystkie przedmioty w niej się znajdujące, tworząc istną jakąś atmosferę ohydy i niechlujstwa. Tuż obok tego strasznego sprzętu stał wysoki, niczem nie przykryty szaflik z wodą — do picia!

Długo rozglądał się Temera, natężając nieprzywykłe do ciemności oczy, zanim ujrzał wszystkie te przedmioty. Serce jego się ściskało jakby ujęte lodowatymi kleszczami; nieznośne, cuchnące powietrze zapierało mu oddech; zakrzusił się, aż łzy mu w oczach stanęły.

W kaźni nikt się jeszcze nie odzywał, chociaż słychać było wyraźnie ciężki oddech kilku, jakby przytłoczonych piersi. Temera zaczął się przypatrywać swoim towarzyszom niedoli.

Na sienniku pod ścianą leżał rozciągnięty, ze szczudłem u prawej nogi, pykając czerepianą lulkę, dziad około lat pięćdziesięciu, z czarną okrągło przystrzyżoną brodą, okalającą twarz pełną, obrzękłą. Zresztą był to człowiek barczysty i krzepki. Podarta na nim, brudna koszula widocznie od kilku miesięcy była nie prana. Leżał oparty na łokciach, a nogi miał przykryte jakimś brudnym kaftanem. Niewielkie siwe jego oczy, spokojnie, a nawet nieco ironicznie patrzały na nowego przybysza, aresztanta — panicza.

U nóg dziada, skulony jak piesek, leżał mały chłopak o czarnych włosach, w czarnych miejskich spodenkach, w brudnej koszuli z cienkiego płótna niemiłosiernie podziurawionej, z pod której wyglądało szaro-bronzowe ciało. Twarzy jego nie mógł Andrzej dojrzeć, gdyż spał tak twardo, że go nie obudziło nawet silne trzaskanie drzwiami.

Na drugiem łóżku leżał człowiek średniego wieku, silny i krępy, z ogoloną brodą i podstrzyżonym wąsem. Bielizna na nim dobra i niezbyt jeszcze brudna, świadczyła, że niedawno się dostał do tego miejsca „płaczu i zgrzytania zębów“. Tylko twarz jego była ponura, zapadła i poczerniała jak ziemia, oczy wklęsłe głęboko, a obrośnięte, żylaste ręce od czasu do czasu ściskały mimowoli żelazne poręcze łóżka; brakowało im snać zwyczajnej, codziennej pracy. Leżał na wznak, wlepiwszy oczy

w powałę z wyrazem gniewnym a zarazem obojętnym i ani razu nie spojrzał na nowego przybysza, aż dopokąd ten sam do niego nie przemówił.

Obok, a raczej u nóg jego leżał na grubym kocu młody, wiejski chłopak. Proporcjonalna, smagła twarz jego jaśniała zdrowiem i ową przedziwną pięknością rysów, jaką się nieraz widzi u naszego ludu wiejskiego, żyjącego w bezpośredniej styczności z przyrodą, matką wszelkiego piękna. Długie miękkie włosy, krótko nad czołem przystrzyżone spadały, mu na ramiona bujną falą. Duże błyszczące, czarne oczy, wyrażały dziecinną łagodność i ciekawość, gdy się przypatrywały nowemu towarzyszowi. Ręce tylko i nogi żylaste, szorstkie, dobrze rozwinięte, świadczyły, że ten piękny chłopiec nie w rozkoszach żyje, ale wśród twardej pracy, że o byt swój walczył długo i ciężko. Andrzej, zawsze wrażliwy na wszystko co piękne, długo nie mógł oderwać oczu od tej pięknej twarzy, tem piękniejszej jeszcze od tylu innych, że w niej się malował naturalny spryt, ciekawość i niezepsute jeszcze szczere uczucie.

Reszta mieszkańców tej „sali“ musiała się mieścić na podłodze. Oko Andrzeja szybko obiegło po koleji tych nieszczęśliwych, leżących pokotem na mokrej i ślizkiej od nieprzyschniętej flegmy, asfaltowej płycie. Tam pod ścianą, koło samych drzwi leżał stary żyd, z twarzą niesłychanie chudą i zbiedzoną, suchemi jak grabie rękami i kosmatą siwą brodą. Głowa jego krótko strzyżona, leżała zwieszona na płycie, a na długiej, cienkiej szyji, widać było żyły wzdęte jak postronki. Spał twardo, z otwartą, bezzębną gębą, chrapał i sapał jakby poderżnięty, a z ust spływała po brodzie ślina. Przy nim siedział pijany jakiś, obdarty wieśniak, w guni bez poły, butach powiązanych sznurkami, czapce barankowej mocno wytartej i w szarawarach płóciennych bez jednej nogawicy: zamiast rzemienia, opasany był łykiem. Siedząc na podłodze szlochał z cicha, jak gdyby dopiero co przestał płakać.

Z drugiej strony łóżka, pod ścianą, naprzeciw drzwi, leżał jakiś młody jeszcze człowiek, liczący niewięcej nad 28 do 30 lat, z białą cerą, jasnym zarostem na twarzy, o siwych oczach i krótkich rudych włosach na głowie. Broda jego snać dawno nie widziała grzebienia ani nożyczek a swojemi kudłami przypominała rozrzucone gniazdo ptasie. Na człowieku tym tyle było nawieszanych szmat, że leżąc tak na podłodze, wyglądał jak kupa ścierek, ciężko oddychająca w tej dusznej przeludnionej ciupce.

Andrzej Temera z bolem w sercu, wodził troskliwem wzrokiem po tych ciałach i twarzach ludzkich i sam nie wiedział, co mówić, co myśleć. Ileż to boleści piekących, niespodzianych i utajonych przedtem, przedstawiło mu się naraz w tej ciemnej wstrętnej klatce!.. Wszak

wszyscy ci oto ludzie, to jego bracia, którzy tak samo jak i on potrafią odczuć i brzydkie i piękne strony życia! A ci, co ich tu zamknęli i trzymają w tej przebrzydłej norze — toż i to są ludzie, ojcowie dzieci, pracujący na chleb, umiejący również czuć i brzydkie i piękne strony życia! Jakże to się stało, że tu naraz rozwarła się taka straszna przepaść między ludźmi? Cóż to takiego?

Andrzej, jak od potężnego ciosu, schylił głowę i opuścił ręce. Na sercu swem uczuł w tej chwili takie brzemię, chłód i ciasnotę, jak gdyby z pośród jasności dziennej i swobody wrzucony został do głębokiej studni i upadł na dno rozbity, oszołomiony. Istotnie, jam na dnie, myślał, na dnie społeczeństwa — cóż, jak nie dno zewsząd mnie otacza, jak nie owi wyklęci parjasowie, napiętnowani straszną, hańbiącą pieczęcią — nędzy!...

III.

— A skądeście to, Panie? — pierwszy zagadnął Andrzeja dziad.

— Z Tarnopola.

— I cóż się to z wami panie stało, że zapędzili was aż tutaj?

— Ot, co się stało!... we Lwowie skończyłem szkoły, a teraz wybrałem się właśnie na wieś tutaj, do domu jednego z kolegów — na lekcję.

Lecz jak to zwykle, gdy się człek winnym nie czuje, to i napaści się nie spodziewa — tak i ja też — nie zabierałem ze sobą żadnych papierów, ani paszportu, ani nic zgoła. Aż tu, spotykamy w drodze żandarmów, którzy zaczynają mnie pytać zkąd ja i kto taki, a przekonawszy się, że nie mam przy sobie papierów, zaprowadzili do starostwa. Starostwo rozpytało się o wszyskiem i kazało mię tu odesłać, powiadają, że chce mię ono ciupasem odstawić do miejsca urodzenia. Ot, taka sprawa.

— No — no, także też! — odrzekł dziad. — Zważcie, panoczku, że i ze mną było także coś podobnego. Ja jestem, jeśli pan wie, z Wołoszczy — wioska jest tu taka, bardzo niedaleko ztąd. Służyłem przedtem przy wojsku... przestrzelili mi nogę w Netaliji... stałem się przeto do wojska niezdatnym i puszczono mię na wolność. Powlokłem się tedy o szczudle do domu, a tam pustka — chcesz — to mrzej z głodu, chcesz idź na żebraninę. A tu, panie, człowiek jeszcze siłę czuje w sobie, wstyd żebrać — a jakaż to praca bez nogi koło roli? Poszedłem więc do Borysławia. Tam robota inna, tam stać tylko trzeba i korbą kręcić. Robiłem tam coś koło dziesięciu lat, i zarabiałem tyle by módz przeżyć jako-tako. Ale, po prawdzie, tom często nie dojadł — a odkładałem po trochę na starość i chorobę... No — i tak grosz do grosza nazbierało się coś pieniędzy — a i odzieży też był mały zapas... ot jak zwykle

człowiek żyje i plany układa; aż tu naraz zesłał Bóg chorobę, która powaliła mnie tak znagła, jakby mnie kosą kto podciął. Wyleżałem sześć miesięcy w komórce u żyda... szczęście jeszcze, że to nie było zimą. Wychodzę właśnie śnieg upadł — cóż tu począć? Pieniądze wszystkie się wydały, odzienie trzeba było zastawić — człowiek poleżał by jeszcze po chorobie, a tu żyd wygania, bo nie ma czem zapłacić. Iść na robotę, sił nie ma — doloż ty moja — gdzie ja się obrócę? widzę, że jakbym nie przemyśliwał, innej rady nie znajdę, poszyłem więc torby i poszedłem po chatach o żebranym chlebie. Dzięki Bogu, zimę tę jakoś szczęśliwie przebyłem i myślałem już z wiosną stanąć do roboty — aż oto za majdanem zdybali mnie żandarmi: A skądeś to „dziadzie"? A z Wołoszczy, rzekę. Jakto? to ty nie wiesz, że teraz zakazano obcym dziadom włóczyć się po wioskach? Każda wieś musi utrzymywać swego dziada a włóczyć się nie wolno. Ale ja — mówię — nie dziad; prosiłem kilka razy o kawałek chleba, bo byłem słaby i niemogłem zapracować... Ale gdzież tam, nie chcieli ani słuchać, a jeden tak kopnął mnie nogą, że aż mi się prababka przypomniała — no i powlekli mnie do starostwa. A tu pan zastępca starosty, (samego starosty nie było, umarł) ani się o co spytał i zaraz oddał do „małego sądu" za włóczęgostwo. Zasądzono mnie na dwa tygodnie aresztu i odesłanie ciupasem na miejsce urodzenia. Odsiedziałem te dwa tygodnie, poczem przyprowadzono mnie tutaj, gdzie już kisnę, chwała Panu Bogu w piątek będzie półtora miesiąca. I niby to się za karę nie rachuje, a na Boga żywego, czy to nie kara? już i w piekle większej nie znajdziesz! A najgorsza, że nie wiem jak długo to się pociągnie, niezbyt się z tem kwapią i nie pozbierali jeszcze wiadomości.

— No, a jak tu siedzicie? czy bez żadnej przerwy? zapytał Andrzej - przejść się nie puszczają?

— Ech, gdzież tu się przechadzać! — odrzekł dziad z uśmiechem, ale puszczają, co dnia rano na miasto rynek zamiatać.

— Wszyscy?

— Nie, ot ja — ten oto mały Mitro i Stebelski, ów ten w szmatach, więcej nikt.

— A reszta nie wychodzi wcale na świeże powietrze?

— A nie, chyba czasem ten gazda pójdzie po chleb i masło. A tego starego żyda i tę Magdalenę zapłakaną w półtorej nogawicy i w pół guńce, to dopiero przyprowadzili i nie wiem jeszcze jak tam z nimi będzie. Ten żyd, to nim go tu przywiedli ciupasem, coś ze dwa miesiące siedział w Borysławiu, teraz powiada, że przyszły jego papiery i że pójdzie sobie jutro, pojutrze. Znamy się z nim dobrze, kręcił nieborak ra-

zem ze mną korbę w Borysławiu przez długie lata! Teraz wszystkich gonią z Borysławia, kto nie ma książeczki, no i jego wyrzucili.

Andrzej spojrzał na wynędzniałą, wyschłą twarz żyda, tak wyglądającą jakby zrobioną była z patyczków i obciągnięta burym, zmarszczonym safjanem. Ciężkie chrapanie w piersi zwiastowało, że nie długo pożyje, a postać cała świadczyła wymownie, że życie to było tylko ciągłym wysiłkiem i wieczną walką z nędzą.

— Szczera to dusza i złote serce — mówił dalej dziad. — Chociażby sam był Bóg wie w jakiej biedzie, nigdy nie będzie się skarżył przed drugimi, a jeszcze innego pożałuje i pomoże mu jak potrafi niby brat rodzony. Takich żydów niewielu pan znajdzie, zaprawdę, niewielu. — Ot, poprostu, wyrósł między naszymi, biedował, pracował od mała jak każdy z nas, to też teraz gdyby nie broda, nie pejsy i nie ta długa kapota, nikt by nie poznał w nim żyda.

— I jakże wy tu żyjecie? spytał Andrzej, rozglądając się lepiej po kaźni, do której oczy jego zaczęły już powoli przywykać. Obaczył w niej piec żelazny, do połowy wmurowany w ścianę, właśnie w głowach tego łóżka, na którym leżał dziad, a na piecu duży bochenek żytniego chleba, jaki codzień sprzedają przedmieszczanki na drohobyckim rynku.

— Jak żyjemy? chlebem żyjemy, ot i wszystko, odpowiedział dziad.

— Chlebem tylko?

— Chlebem.

— I nic ciepłego nie jadacie nigdy?

— Oj, paneczku, ja już Bogu dzięki półtora miesiąca nic ciepłego w ustach nie miałem! Jak dostaniesz na dzień tych 14 krajcarów, to tnie wiele za nie można kupić? Chleba mało za 10 krajcarów, a tu porzeba kupić soli, cebuli trochę, tytoniu — ot i po pieniądzach. Kupuję co drugi dzień chleb taki, kosztuje 20 ct., czasem zostanie mi się z niego kawałek na trzeci dzień, wtedy kupuję sera do cebuli, mam jej garść całą, jest czem chleb zajeść przez dzień cały. A ci inni nieprzymierzając, to nie mają i tego, jak rano weźmie sobie jeden z drugim taki bochenek za 10 ct., to nie zostawi z niego i kruszyny — i znów drugiego rana wyczekuje. Tylko ot ten parobczak robi tak jak i ja, bierze sobie chleb na dwa dni i lepiej na tem wychodzi. On by stał nawet daleko lepiej, bo nie może jeść suchego chleba, ale ot ci tutaj — dziad wskazał nogą na skulonego chłopca, co przed nim leżał, ci biorą od niego. Swój zjedzą rano, a w południe do Mitra jak do swej komory — Mitro, daj chleba! a on głupi daje.

— A cóż to ja, chleb będę przetrzymywał, a oni głodzić się mają, odezwał się dźwięczny głos Mitra i jasny, łagodny uśmiech rozlał się

po ślicznej jego twarzy i zabłysnął w oczach, dodając im więcej jeszcze piękna i powabu.

— No, no, głuptachu jeden! zobaczyłbyś, co by ci powiedzili, gdyby oni mieli, a tybyś głód cierpiał. Wyprosiłbyś od nich chyba kamień do roztrącenia głowy!

To i cóż rzekł Mitro po prostu, ja bym też ich i nie prosił.

— A ty za co tu siedzisz? rzekł Andrzej zwracając się do Mitra. Za co cię tu trzymają, komuś ty głowę rozbił?

Zaśmiał się Mitro.

— A nikomu, odparł, przeciągając *a*, jak to zwykli czynić bojki-górale. Wzięli mnie z Borysławia, za to żem książeczki nie miał.

— A sam ty zkąd?

— A z Dzwiniaca. Mama mi zmarła jeszcze na „kolerę" a ojciec jak pić poczęli, tak i z gruntu się wyprzedali, obdłużyli chatę i nakoniec zmarli tej oto jesieni. I cóż miałem z sobą robić? — widzę idą parobcy nasi do Borysławia, ja z nimi. Ale co mi tam za zarobek, ani ugodzić ja się umiem, ani na wyciąganie sił nie ma, ot do młynka chyba lub do wyrzucania z kibla wosku, a za to płacą u nas cztery, a najwięcej pięć szóstek. Przezimowałem jednak jakoś i na wiosnę chciałem pójść gdzie na służbę, aż tymczasem żandarmi przyprowadzili mię tutaj.

— I dawno już siedzisz?

— A już miesiąc się skończył rzekł Mitro spokojnie, głosem dźwięcznym, melodyjnym, niemal dziecięcym. Wszyscy my tu z Borysławia, mówił dalej prócz Stebelskiego.

— No ten, to prawdę powiedziawszy, sam sobie biedę wynalazł, rzekł dziad smutnie się uśmiechając. Człowiek uczony gimnazjum ukończył — tylko ot t u t a j, widzi Pan — dziad powiódł ręką po czole parę razy, — tutaj mu coś brakuje. Był on z początku pisarzem przy starostwie w Samborze, później u adwokata jakiegoś, a potem to już zupełnie się opuścił. Najął się do gazdy paść bydło, wreszcie zmarnował się powoli... Ale pracowity człek i nikomu nie szkodzi. Ma sobie swoje książeczki, tu nawet odebrali mu ich parę.

— A zkądże on tu przybył?

— Z Sambora gdzie mieszkał przez długi czas i nikt mu nie mówił ani słowa, aż tu nagle dowiaduje się tej wiosny, że powołują rezerwistów do becyrku. A on, panie, urodził się w tutejszym cyrkule, przyjechał więc tutaj stawać do wojska. Ale on ma abszyt, jeszcze od tego czasu, gdy sobie palce odmroził? — A jakże to on sobie palce odmroził?

— Mówię panu, że jemu tam coś w głowie... nie staje... tak mi o tem sam opowiadał: idę sobie zimą, a mróz był straszny; idę do Sambora z jakiejś wioski, aż tu patrzę leży kawał żelaza na drodze,

odłamek sztaby, czy coś takiego. Widocznie czyjaś zguba, pomyślałem sobie, trzeba to oddać do policji niechaj ogłoszą. I wziął żelazo w gołą rękę i niósł je więcej niż mīlę.

— Półtorej mili — poprawił obojętnie sam Stebelski, który widocznie leżąc na ziemi słuchał naszej całej rozmowy. Andrzej podniósł nań oczy, a dziad prawił dalej, jakby go to nic nie obchodziło, że Stebelski słuchał jego opowiadania. Przynosi do policji, a tam wszyscy w śmiech: chcą zabrać żelazo, a tu ono się nie daje, tak przymarzło do ręki. Zaraz do szpitala go odesłali, ale próżno, rady nie było żadnej: musiał mu doktor palce poobrzynać.

Stebelski jakby na stwierdzenie tych słów podniósł wysoko prawą rękę, której wszystkie palce były odjęte.

— A szkoda go, człek uczony, nikomu nic złego nie zrobi, spokojny. Mają go też odesłać na miejsce urodzenia, on już tu miesiąc siedzi. I niedość, że skazali go na taką mękę, jeszcze mu co dnia te 14 ct. z własnych pieniędzy wydzielają. Bo jak go policjanci ujęli, na dworcu, jak tylko przyjechał, to zaraz odebrali od niego ten „abszyt“ i 39 reńskich i z tych pieniędzy go karmią.

— I świadectwo szkolne z klasy ósmej — dodał Stebelski — 3 książki, 39 reńskich i świadectwo z ósmej klasy — powtórzył raz jeszcze, jakby się starał słowa swe zapamiętać. Wraz też podźwignął się na podłodze, siadł i zwracając bladawą swą twarz bez barwy i wyrazu, spytał Andrzeja:

— Et dominus... intelligit latine?

— Intelligo.

— Et germanice?

— Intelligo.

— Und Sie... Sie kennen die allgemeine Geschichte von Gindely, die hat man mir abgenommen, drei Bände; Geschichte des Alterthums, Geschichte des Mittelalters und die — die Geschichte der neuen Zeit.

— Człek uczony... rozumna głowa... — rzekł z cicha dziad do siebie szkoda prawdziwie, że się tak zmarnował! Już to cała ich familja taka, z matką nieboszczką także nielepiej było...

— Et quas scholas dominus absolvit? — pytał dalej Stebelski.

— Byłem we Lwowie na wydziale filozoficznym.

— Ergo philosophiam majorem!

— Nie — rzekł Andrzej, filozofia jest tylko jedna, nie ma mniejszej lub większej, jest tylko mniej lub więcej fałszywa, zresztą czy i to prawda, jeden Bóg wie tylko!

Stebelski słów tych słuchał z wytrzeszczonemi oczyma, jakby wcale ich nie rozumiał, schylił potem głowę i znów legł na mokrą, ślizką od błota podłogę.

IV.

— A ten oto żydek — ciągnął dziad po chwili milczenia, ukazując nogą czarnowłosego chłopaka, leżącego na jego łóżku, to także tutejszy. Należy on, zdaje mi się, do „kieszonkowych majstrów“. Nie wiem z jakiej racji i po co go tu tak trzymają. A siedzi już koło dwóch niedziel. Nieprawdaż, Mitro?

— A tak już ze dwa tygodnie — poświadczył Mitro.

— Niewiedzieć, co z nim będzie, bo go jeszcze ani razu nie wołali do protokułu.

— Ani razu, od dwóch tygodni? — zawołał Andrzej.

— Tak, nie wołali. Siedzi i siedzi i pies za nim nie szczeknie, a panu inspektorowi się nie spieszy... A ten oto drugi, to nasz gospodarz, ten już tu zimuje.

— Jaki drugi? — zapytał Andrzej, nie widząc nikogo więcej.

— O, jest tu u nas jeszcze jeden „burger“. A wstańże tam, leniuchu, rusz się z miejsca, zgnilaku!

Na to wezwanie dziada, zaczęło się coś ruszać w zupełnie ciemnym kącie za łóżkiem i ztamtąd jakby z mogiły, zwolna podnosiła się jakaś mara straszna, jakby nie z tego świata. Był to parobczak lat około 24, średniego wzrostu, barczysty, o płaskiem, na tył odsuniętem czole i długich rozczochranych włosach, które i bez tego już strasznej jego twarzy nadawały jeszcze straszniejszy pozór. Duże i nieruchome oczy, świeciły martwym szklannym blaskiem, jak próchno połyskujące w ciemności. Twarz jego, jak i wszystkich w ogóle mieszkańców tej nory, była szaro-żółta, jak ziemia i pokryta jeszcze prócz tego grubą warstwą brudu. Był on zresztą prawie całkiem nagi; trudno bowiem nazwać ubraniem koszulę, z której pozostał tylko kołnierz, rękawy i podłużny szmat, wiszący na plecach aż po pas. Więcej nic nie miał na sobie. Andrzej aż się wzdrygnął z żalu i obrzydzenia, ujrzawszy tę istotę ludzką, do ostateczności zaniedbaną i zdziczałą. Spojrzawszy raz jeszcze uważnie na tego człowieka, Andrzej spostrzegł, że nogi jego były spuchnięte jak konewki i błyszczały jakimś sinawem, właściwem wodnej puchlinie połyskiem. Podobnież i brzuch straszliwie wydęty przypomniał Andrzejowi owych dzikich, co się żywią ziemią a których widywał na rysunkach z podobnie wydętymi brzuchami. Jedne tylko ręce, silne i zdrowe, świadczyły, że to człowiek pracy, chociaż niewiedzieć jakim trafem nieszczęsnym od niej oderwany i tu wrzucony na swoją zgubę.

— Ot widzicie, mówił dziad — to nasz burger, a raczej Bowdur, bo takie jest jego przezwisko. On tu w tej kaźni jest gospodarzem, bo

tu zwyczaj taki, że kto najdłużej w kaźni siedzi, ten się nazywa gospodarzem. On tu, dzięki Bogu już przezimował, a widzicie, jak się spasł, nie urzekając! My też go trzymamy na pokaz; może go kupią na zarznięcie Teraz to już nie bardzo go nawet karmimy, ciągle leży i leży, bo tak się już spasł, że nie może stać na nogach. Rękami tylko, co zarwie, to już jego; o, w rękach to silny jeszcze; no, ale mniejsza o to wyrośnie i z tego!

Wszyscy w kaźni głośno się śmiali z żartów dziadka, prócz Andrzeja i Bowdura. Ten ostatni stał w tem samem miejscu, gdzie się ukazał Andrzejowi, stał ponury, jakby się namyślał nad jakimś śmiałym czynem, a przez na wpół rozwarte, sine jego usta, widać było zaciśnięte zęby, jak gdyby zbierał całą odwagę, dla wykonania zamierzonego dzieła. Oczyma zaś zwolna wodził po kaźni, chociaż wzrok zatrzymywał się zawsze na człowieku leżącym na łóżku i drzemiącym wśród gwaru.

— On u nas ani do miasta nie wychodzi — prawił dalej dziad — ani na robotę; najpierw sam nie chciał, a teraz, choćby i chciał, to go nie puszczą.

— Owa, ja sam niechcę! wtrącił chrypliwym głosem Bowdur. Niech ich djabli, z ich robotą! Co mi kto za nią da?

Wyrzekłszy te słowa, Bowdur przelazł przez śpiącego na podłodze żyda i chwiejnym krokiem poszedł do skopca, podniósł go do góry jak piórko, napił się wody i wnet sięgnął pod głowę drzemiącego wieśniaka, wyjął ztamtąd glinianą fajeczkę i wyskrobawszy z niej niedogarki tytoniu t. zw. „bagę“ wsypał sobie ten specjał do ust i począł żuć zwolna, wypluwając od czasu do czasu obrzydliwą czarną maź i pstrząc nią ściany i podłogę. Spełniwszy ten śmiały czyn, odetchnął, stanął na środku kaźni i machnął ręką:

— Otóż nie pójdę na robotę! Djabła zjedzą łysego! Wolę zgnić tutaj, a nie pójdę! I znowu splunął czarną mazią na ścianę, nad samą głową śpiącego żyda.

— A za cóż cię tu tak długo trzymają? — spytał drżącym głosem Andrzej. Bowdur wypatrzył się na niego dziko, jak gdyby to pytanie dotknęło bolesnej jakiejś strony jego serca.

— Trzymają, bo trzymają! — wybąknął Bowdur, po chwili zaś dodał: chcą mię odstawić ciupasem do tej wsi, zkąd ja rodem, a ja na to odpowiadam: żem się w żadnej wsi nie rodził. — A gdzieżeś ty się rodził? — Rodziłem się na drodze. — No, a na czyim gruncie była droga? — Droga na ta niczyjim gruncie, bo sama nie ma gruntu, rodziłem się na wodzie. — Więc gdzie cię chrzcili? — Tego nie pamiętam, — idźcie spytać tych co mnie do chrztu trzymali — szczęście, dolę odebrali. — No, a gdzieżeś się wychował? Między złymi ludźmi. — Ale w której wsi?

Taż oni w każdej źli! — Ot i cały mój protokuł. O nic mnie więce nie pytali, kazali tu zaprowadzić, a tu dzięki Bogu takiem głupiem pytaniem nie dokuczają.

Znowu splunął Bowdur, znowu przelazł przez szlochającego chłopa i śpiącego żyda i znikł w swym kącie nakrywszy nogi podartym jakimś workiem.

Andrzejowi jeszcze straszniej się zrobiło. gdy usłyszał opowieść Bowdura. Cóż przyniosło życie temu człowiekowi? Jakie mogą być jego wspomnienia, jakie nadzieje? Andrzej próbował wżyć się myślą w położeniu takiego człowieka i czuł, że on rychło udusiłby się w tej okropnej przepaści bezdennej. Rozogniona fantazja Andrzeja malowała mu sierotę bez ojca i matki, bitego i deptanego od dzieciństwa ludzką pogardą, który w życiu swojem nie zaznał ani wesela, ani szczerości, ani miłości. W rzeczy samej było trochę inaczej — miewał i Bowdur chwile szczęścia i miłości; i on miał towarzyszy szczerych — takich jak on biedaków bez jutra, opuszczonych i osieroconych, lecz wszystkie te wspomnienia znikły teraz pod grubą warstwą zdziczenia i niepamięci, a myśl jego, kręcąc się ciągle jak zaklęta między szczyptą „bagi“ i kęsem chleba nie sięgała już ani w przeszłość minioną, ani w ciemną przyszłość.

Panom „inspektorom“ nie spieszyło się wcale wypuścić go; — to też siedział sobie Bowdur opuszczony od Boga i ludzi, siedział — i puchł i gnił żywcem, zapominając o wszystkiem co go kiedyś otaczało na świecie, i z upadkiem sił nabierając coraz większej odrazy do pracy.

— Więc on się żywi samym chlebem tylko? spytał Andrzej dziada.

— Samym suchym chlebem już od sześciu miesięcy. I to tak, że gdy rano poszle kupić bochenek za 14 centów, to go położy przed sobą i natychmiast zje do szczętu, a potem czeka aż do następnego dnia, chyba że wieczorem wyprosi od tego ot głupiego bojka kawałek chleba rozumie się na wieczne nie oddanie...

— I nigdy nie wychodzi z tej ciupy?

— Nie, odkąd ja tu jestem, niewidziałem go ani razu na dworze. Niewiem, jak przedtem było. Bowdurze, czyś ty przedtem kiedy wychodził?

Bowdur zakrztusił się suchym kaszlem i bąknął: — Nie, nie wychodziłem nigdzie, tylko raz do protokułu.

— Jak on tu przetrzymał zimę w tem adamowem ubraniu, tego już nie wiem — mówił dziad. — Gdy mię tu przyprowadzono, kończyły się właśnie mrozy. Przychodzę tu, zimno takie, że niech Bóg ratuje, a on sam w kaźni leży w tym samym kącie co ot teraz, i tym samym workiem przykryty. Cały był siny jak bez i nic nie mówił. Chodzę po

kaźni, trę ręce i wywijam niemi co siła, ale widzę że nic nie pomaga, więc zaczynam wołać: „Ej, — ludzie, wszakci ja nie syn Boży, za cóż mnie tak męczycie? Toż to tylko syna Bożego tak męczyli faryzeusze, jak wy mnie teraz!“ Z razu gniewali się na mnie, ale wreszcie zapalili trochę w piecu — niby na pokaz, żeśmy się cokolwiek ogrzeli. I odtąd aż do końca zimy, ciągle po trosze palili, choć co drugi dzień.

— A dopóki was nie było, to nie palili wcale? — zapytał Andrzej, wstrząsając się mimowoli, jakby od zimna.

— Bowdur mówi, że palili, ale zrzadka, tak, kiedy im się podobało.

— A dlaczegożeś się nie upominał? zwrócił się do niego Andrzej.

— Prosiłem z początku, ale bili mię za to, bom był sam.

— Sam byłeś! — krzyknął ze zdziwienia Andrzej. A długożeś sam siedział?

— Cały miesiąc. Nikt się jakoś nie trafiał, a jeżeli się trafił, to go sadzano w drugiej kaźni, chcąc mi robić na przekor.

— A doktor nigdy tu niezachodzi?

— O jeszcze czego nie stało! doktor! Któż tu co da doktorowi? rzekł z gorżką ironją dziad.

— Ależ bo prawo wyraźnie nakazuje, aby doktor codziennie, albo już najmniej co tydzień oglądał wszystkie areszty.

— Może gdzie jest takie prawo, ale u nas w Drohobyczu, nie ma go! Co nam zresztą do przepisów! My sobie tu sami rządzimy!

— Więc nigdy tu nie zagląda żadna kontrolująca władza?

— Nie, nigdy — i koniec.

V.

W kaźni wszczął się szmer. Śpiący się pobudzili i powstali; jeden tylko Stebelski leżał na swojem miejscu, a Bowdur, oparłszy głowę na ramieniu, dumał w ciemnym kącie, żując bagę. Stary żyd jął rozpytywać Andrzeja, naprzód po żydowsku, a potem po rusku, a siedzący obok niego na podłodze wieśniak znowu zapłakał, chwycił się za głowę oburącz i zaczął się wahać wprzód i wtył, wciąż zawodząc przerywanym głosem:

— I jakaż mnie... licha dola zanio-sła do tego Droho-obycza! Nie by-yłoż mnie siedzieć spoko-ojnie w Borysła-awiu, albo kupić za tych nieszcze-ęsnych pięć szóstek, com za-arobił, mąki dla dzieci i pójść so-obie do do-omu!

Dobry mi gospodarz! — żartował dziad — robił dzień w Borysławiu, zarobił pięć szóstaków, a dziś przy święcie wybrał się do Drohobycza chleb kupować. I ubrał się, nieborak jak stryj na wielkanoc! Spodeńki niczego, — lżej chodzić, kiedy na człowieku nie wisi tyle płótna. Gunia także odświętna; chciał zakasać poły, ale snać przez pomyłkę —

oderwał. A może gdzie zagościł i szczerzy przyjaciele puścić go nie chcieli i chwycili za poły; lecz grzesznemu człowiekowi trudno wysiedzieć, — czas do miasta, ludziom się przypatrzyć i siebie pokazać; więc trzask-prask, poły zostawił i od dobrych przyjaciół uciekł! Lecz zaledwie się pokazał koło kościoła, na najwidoczniejszem miejscu, jak ci przyskoczą do niego apostołowie boscy, jak wezmą pod ręce i — sługa waszmości, prosimy do izby!

Nasz chłopek płakał ciągle, podczas tych słów dziada, inni się śmiali.

— Dziateczki moje — zawodził — co tam z wami się stanie?... Zostawił ja was samych w chałupie, drobiazg taki, bez okruszynki chleba! Toż one tam poginą z głodu, skoro jutro nie wrócę do domu!...

— O jeszcze dalekie to jutro! — wtrącił czarno-włosy żydek. Trzeba było dziś wracać, a nie chodzić do Drohobycza szukać szczęścia.

— Ot byś milczał i nie rżnął mnie bez noża! zawołał wieśniak pochyliwszy głowę i zaszlochał znowu jak dziecko.

— Ale nie — dodał po chwili stanowczym tonem, oni mię muszą dziś wypuścić. Cóż ja im winienem? Czyżem co ukradł, lub zabił kogo? Za cóż mię trzymać mogą? Po tych słowach podniósł się z podłogi i stanął pod drzwiami, a przyłożywszy twarz do zabitej wizytyrki, śledził przez małą szczelinę ruchy kręcących się po podwórzu policjantów.

— Dziadku, — ozwał się wtem głos leżącego na łóżku wieśniaka — dziadku Pańku, czyście to wy wybrali z mojej fajki resztę tytuniu?

— Nie, to nie ja — odrzekł dziad, — był tam u was inny gość.

Któż taki? — zapytał włościanin zmarszczywszy brwi.

— A nasz burger! patrzcie, jeszcze gryzie maczkę.

Włościanin milczał chwilę, gniewnie patrząc w stronę, gdzie drzemał Bowdur, a potem nie mówiąc słowa, podszedł ku niemu i zaciśniętą pięścią tak silnie uderzył go z góry w głowę, że Bowdur aż stuknął nią o ścianę.

— Ty Bowdurze, czy raz ci mówiłem, żebyś do mnie nie przyłaził! Nie rusz tego co moje! Tobie wara od mojej pracy!

Zamiast wszelkiej odpowiedzi Bowdur kopnął z całej siły nogą w brzuch włościanina, chociaż sam uczuł przytem taki ból w nodze, że aż jęknął. Włościanin zachwiał się i oparł plecami o ścianę.

— Ażeby cię grom!... — wrzasnął — to ty mi jeszcze tak odpłacasz za moje dobro?

— Żeby ci takie dobro i na tamtym świecie się dostało, krzyknął Bowdur, z trudnością zrywając się na nogi. Chciałbyś za szczyptę niedogarków człowiekowi łeb rozwalić.

— I oko bym wyłupał za to co moje! — odrzekł włościan. — Co moje — tego nie tykaj! Rozumiesz? Postaraj się sam, to będziesz miał, ja twego pewnie nie ruszę!

— Prawda, że nie ruszysz, dopokąd będę pilnował! Ale niechno się obrócę w drugą stronę, to wnet cap! i jest. Znamy my takich.

Zamiast odpowiedzi włościanin znowu zmierzył się do Bowdura.

— Więc żal ci twojej maczki? — rzekł tenże ponuro patrząc mu w oczy. — Więc masz, kiedy cię tak o nią zęby bolą! I mówiąc to, wypluł całą przeżutą już maczkę w twarz włościaninowi.

Czarny, cuchnący sok spłynął po twarzy, i brodzie na koszulę zostawiając po sobie ciemne smugi. Dziad Pańko się roześmiał, a Mytro drżący skulił się na swojej siermiędze, bojąc się bójki.

— Coś ty mi zrobił? wołał włościanin, ochrypłym i przytłumionym ze złości głosem, przystępując do Bowdura z podniesionemi pięściami.

Oddałem ci twoje z dodatkiem! — odrzekł ponuro Bowdur i nie czekając zaczepki, ugodził włościanina kolanem w brzuch tak silnie, że ten jęknął, zachwiał się i jak długi padł na podłogę, a Bowdur znowu spokojnie legł w swoim kącie, nie zwracając wcale uwagi na krzyk i narzekania potłuczonego przeciwnika.

— Ten jest u nas „starszym polowym“, — rzekł Pańko zwracając się do Andrzeja, — pilnuje „swego“ jak oka w głowie, i ciągle gotuje się wydłubać Bowdurowi oko, ale jakoś jeszcze dotąd lituje się nad nim. A nawet warto, dalipan warto, — za garść bagi — oko!

— A wy skąd, gospodarzu? — zapytał Andrzej włościanina; lecz ten, sapiąc zawzięcie, znowu leżał na łużko i pykając fajkę, patrzał w sufit, jak gdyby nie słyszał Andrzejowego pytania.

— Oni z Dorożowa — odezwał się znowu wesoło dziad Pańko. — To wielka wieś, ten Dorożów; żyją tam wielcy wszarze, wielcy podpalacze, a i wielcy złodzieje, co się wciąż tylko kłócą o „moje a twoje“ i tak się już w końcu zbałamucili, że wreszcie żaden nie wie, co moje a co twoje.

— Milczałbyś lepiej dziadzie, a nie plótł głupstw! — mruknął Dorożowski.

— Ahij na twoją głowę, odrzekł śmiejąc się dziad, — jeszcze ci krzywda żarłoku! Wszak ci to nie „twoje“ co ja gadam! — Ot i jego, grzesznego — prawił dalej Pańko Andrzejowi — zamknęli także za „moje i twoje“: Kupił ci on u żydka skórę za 30 ct., a skóra warta była z półtora guldena. Żydek capnął 30 centów i w nogi, a jego, sługę Bożego, żydzi pochwycili i do Iwanowej chaty!...

Dziad znów zachichotał, a z nim i Mytro i czarnowłosy żydek, którego dziad nazwał był „kieszonkowym majstrem“. Dorożowski już się

więcej nie odzywał, tylko pykał fajkę, wydmuchując dym ku powale. Andrzej zaś przez cały ten czas stał pod ścianą, przy dziadowem łóżku, trzymając na ramieniu palto. Kolana się pod nim uginały ze zmęczenia, lecz nie mógł się zdecydować usiąść gdziekolwiek w tym brudzie, którym się brzydził. Nie mogąc ustać na miejscu, zaczął się przechadzać po kaźni, przeciskając się pomiędzy łóżkami i ludźmi leżącymi pokotem, chociaż i tak mógł zrobić zaledwie pięć do sześciu kroków. Wszystkie brzydkie i smutne strony życia aresztanckiego uderzyły go tu znienacka, rzucając ponury cień na jego myśli i przygniatając go jakby ołowianym ciężarem. Wszelka nędza, ohyda i zepsucie otaczające go w tej przebrzydłej klatce, a rozwielmożnione również i po za jej ścianami, na dnie całej ludzkiej społeczności, gdzie i on czuł się teraz zepchniętym, całe piekło niedoli miljonów przygniotło go olbrzymim swym ciężarem, a otaczając mózg i serce wężowymi sploty, zagłuszyły w duszy własny jego smutek i żal piekący.

A tam, za ścianami kaźni, na dziedzińcu, zalanym słonecznym światłem i wybrukowanym gładkiemi płytami, śmiali się wesoło policjanci, grając w „kiksa“. W kaźni słychać było wyraźnie uderzenia palestry o kiczkę, słychać było śmiechy i kłótnie, wrzask jakichś żydów pojmanych na gościńcu wraz ze stadem wołów i przyprowadzonych na podwórze komunalne. Słychać było skrzyp pompy żelaznej, którą ktoś pompował wodę ze studni. Lecz prócz tego nic nie można było usłyszeć, nic dojrzeć, panował tu ów szary mrok, a zaklęte i nieruchome cienie pokrywały brudne ściany, łóżka i mokrą podłogę.

— Nie wiedzieć — rychło tam wieczór będzie — mówił dziad Pańko nakładając fajkę. — A wy panie — zwrócił się do Andrzeja — nie palicie?

— Nie, nie palę, — nie mogłem się jakoś przyzwyczaić.

— Szczęśliwy z was człowiek. Co ja, to dalipan zdechłbym tu, gdyby mi palić zabroniono. Na tydzień potrzebuję zawsze dwie „papuszki“, gdyż te lepiej kupować niż paczki.

Tymczasem Mytro, chcąc się przekonać czy daleko jeszcze do wieczora, stanął na żelazną poręcz łóżka i wyciągnąwszy ręce, chwycił się za kratę od okna, podźwignął się nieco w górę i wyjrzał na dziedziniec. Lecz w tejże chwili dał się słyszeć jakiś trzask, a Mytro jak oparzony puścił kratę i zleciał na podłogę, uderzając się o żelazną krawędź łóżka.

— A ty złodzieju, nie możesz tam siedzieć kamieniem, będziesz wyglądać mi tu jeszcze! — rozległ się z podwórza krzyk kaprala, który przechodząc pod oknem właśnie w chwili gdy przez nie wyglądał Mytro, i ujrzawszy ręce jego na kracie, uderzył go po nich z całej siły rzemienną trzepeczką, bez której nigdy się nie ruszał. Jęknął Mytro, wyprostował się i z żalem spojrzał na ręce, okraszone dwoma potężnymi

sińcami. Ze łzami w oczach, lecz z uśmiechem na ustach przemówił do dziada: — „Już wnet słonko zajdzie!“ Potem usiadł na łóżko, i otarłszy łzy rękawem, jął chuchać na bolące palce.

VI.

Brzęknęła kłódka swoim cichym pobrzękiem, zazgrzytał klucz, drzwi się odchyliły, a przez nie wsunęła się głowa kaprala, który całą swą postacią zasłonił otwór nie wpuszczając ani odrobiny światła do wnętrza.

— Andrzej Temera! Do pana inspektora! — huknął kapral i zamknął drzwi za wychodzącym Andrzejem.

W kaźni po jego wyjściu przez chwilę zapanowała cisza.

— Jakiś uczciwy panek, biedaczysko, pierwszy przemówił dziad Pańko.

— Ot, ladaco jakiś i włóczęga, — mruknął pod nosem Dorożowski gospodarz. Uczciwych panków nie prowadzą ciupasem!

— A uczciwych gospodarzy Dorożowskich prowadzą? spytał uszczypliwie Mytro.

— Milczałbyś lepiej i leżał cicho! — ofuknął go z gniewem Dorożowski.

Po chwili znowu nastała cisza, słychać tylko było pykanie fajki w rękach dziada i żałośne szlochanie odartego wieśniaka, stojącego wciąż jeszcze pode drzwiami, jakby wyglądał dopustu łaski bożej, która miała mu otworzyć żelazem okute podwoje i wypuścić na wolność z jego pięciu szóstkami do drobnych, zgłodniałych dziatek.

Znowu brzęknęła kłódka, uchyliły się drzwi i wpuszczono Andrzeja z paltotem zwieszonem na ramieniu.

— I cóż wam powiedzieli? spytało naraz kilka głosów.

— Nic, — odrzekł smutnie Andrzej. Wypytali się dokładniej i kazali czekać na papiery. — Powiedziawszy to umilkł i zaczął chodzić po kaźni. Milczeli i drudzy aresztanci. Każdy z nich przypomniał sobie własne swe położenie i ową trawiącą niepewność w oczekiwaniu na papiery i na myśl o tem serca wszystkich ścisnęły się żalem i współczuciem dla tego młodego pana, osądzonego jednem słowem starosty i inspektora na długie chwile więzienia, które tak boleśnie dało im się we znaki, jednem słowem, podobnie jak każdego z nich, oderwano i jego od pracy, przyjaciół i od całego świata i wrzucono w ten ponury, ohydny loch, na dno społecznej niedoli!...

Pierwszym, które przerwał ponure milczenie był Bowdur. Podniósł się jak mara ze swego kąta i zbliżywszy się do Mytra z wyciągniętą dłonią, przemówił ostro: Mytro, daj chleba!

— Smoły mu gorącej, nie chleba! rzekł Dorożowski. Ale Bowdur nie cofnął się i wyciągnąwszy rękę zawołał powtórnie:

— Mytro, dawaj chleba!

— Kiedyż bo sam odrobinę mam tylko, nie będzie czem pośniadać zanim przyniosą świeży, a wiesz, że muszę iść na robotę skoro świt.

— Dawaj chleba! — nalegał uparcie Bowdur, nie słuchając żadnych tłumaczeń.

— Wszak słyszysz, że ledwie mnie samemu starczy.

— Ale bo ja nie mam i okruszyny, a zgłodniały jestem jak pies!

— Nie trzeba ci było jeść przez cały ranek, ale na wieczór zostawić! — rzekł dziad Pańko.

— Miczałbyś lepiej, stara torbo! — odburknął gniewnie Bowdur, a zwróciwszy się do Mytra zawołał:

— Słyszysz, czy nie, dawaj chleba!

Ale dziad Pańko tym razem nie ścierpiał obrazy. Jak młody poskoczył z łóżka i zastukał o podłogę drewnianem szczudłem. Ty, odmieńcze jakiś! — krzyknął na Bowdura, coś ty tu za pan, żeby ci nie można było i słowa powiedzieć? Marsz w kąt i gnij tam dalej, póki cię robactwo do reszty nie stoczy!

I silną dłonią odepchnął Bowdura, tak że ten aż potoczył się pod ścianę.

— No, no, trącaj, trącaj, trąciło by cię w gorączkę! mruczał przez zęby Bowdur.

— Ciebie samego niech w zimnicę trąci! — odpowiedział dziad Pańko. Czego chcesz od chłopca? czy twój chleb je? — Lezie mu w oczy i pod sam nos wyciąga łapę: Mytro, dawaj chleba!

— Tak mi się podoba, i co mi zrobisz? upierał się Bowdur.

— Co jabym ci miał robić, gadzino jakaś! Niechaj ci ten robi, co po sosnach łazi, a nie ja!

Andrzejowi niewypowiedzianie przykro było słuchać tej kłótni. Począł więc uspakajać dziada, a potem wydobywszy z kieszeni spory kawałek chleba, podał go Bowdurowi mówiąc: weź to i posil się, kiedyś zgłodniały. Zostało mi się z domu jeszcze, ale gdzie mi teraz myśleć o jedzeniu!

— Ej Panie — rzecze dziad Pańko — nie rozdawajcie chleba; nie teraz, to za godzinę, albo jutro z rana jeść się wam zechce, a nie rychło przyniosą. — A macie zaco kupić, jakby wypadło?

— O, mam aż pięćdziesiąt guldenów, wziąłem je jako zadatek od kolegi, do którego jechałem na lekcję; będę zmuszony zdaje się, wy-

dać cokolwiek z tych pieniędzy, chociaż one, prawdę mówiąc, nie należą jeszcze do mnie.

— No zapewne, w takiej przygodzie człowiek musi się ratować jak może — rzekł dziad Pańko.

Podczas tej całej rozmowy Bowdur, strasznem jakiemś i dzikiem okiem wpatrywał się w Andrzeja. W ręku trzymał jeszcze chleb jego, lecz mu zań nawet nie podziękował; nic też nie mówił i zdawać się mogło, że Andrzej dał mu do ręki nie kawał dobrego, pszenicznego chleba, lecz rozpalone żelazo, — tak się twarz Bowdura wykrzywiła i tak niedoopisania dziki wyraz przybrała. Trudno było odgadnąć, czy ból, czy żądza, czy też wdzięczność na niej się malowała; aresztanci jednak nie zwracali na to uwagi. Bowdur, popatrzywszy chwilę na Andrzeja, jakby mierząc oczyma jego siły, ścisnął w prawej dłoni chleb, odgryzł na raz spory kawałek i wrócił do kąta, gdzie też wnet znikł z przed oczu; słychać było tylko głuche cmokanie ust żujących suchy chleb.

Czy wiedział biedny Andrzej, że chlebem swoim i dobrem słowem zatruł zgniły spokój tego człowieka, który w zaniedbaniu i niedoli snać sam zrzekł się swej ludzkiej godności, upadając coraz niżej i niżej — może niżej od źwierzęcia nawet?

Czy wiedział Andrzej, że chleb jego wywoła przewrot w duchowości Bowdura, rozbudzi resztki myśli jego, rozpali niezupełnie jeszcze wygasłe uczucia, że ten chleb jego, którym chciał uśmierzyć głód towarzysza, stanie się dla tego ostatniego żarem palącym, źródłem strasznego głodu, strasznej żądzy? Nie, nie wiedział tego Andrzej Temera — bo gdyby był wiedział, to mimo całą swą dobroduszność i ludzkość, może... może nie byłby dał tego kęsa chleba nieszczęśliwemu Bowdurowi!...

— Mój Boże, różni ludzie bywają na świecie — prawił dalej dziad Pańko. — Jeden, toby, ot jak nasz Dorożowski, za kawał chleba rodzonemu bratu oko wydarł, a inny znowu, choć i sam głodny, oddaje drugiemu ostatni kęs. I to nie tylko oddzielne osobistości, ale całe wsie są takie. W niejednej wsi naród kłóci się i gryzie między sobą o miedzę, o mostki, o trochę trawy, o bodak, — słowem istne piekło. Tam ci ani dziadowi nikt nic nie da, ani podróżnego nie przyjmie, ani nikogo nie poratuje w potrzebie. I wciąż tam słychać tylko: to moje! a to twoje! A pomimo to wciąż tracą to „swoje“ i coraz im ciaśniej na świecie. W innych wsiach znowu ludzie żyją jak bracia, w zgodzie i przyjaźni... Kłótni tam, ani obmowy nie ma: jeden drugiego w pracy wspomoże, pieniędzmi i chudobą w potrzebie poratuje, i biednego nie

opuści i podróżnego przyjmie, nakarmi, no i jakoś z tem wszystkiem nie ubożeją — żyją dostatnio i dzieciom jeszcze coś zostawią. Już to o tem kto, jak kto, ale ja wiem dobrze, chociaż nie długo chodziłem o żebranym chlebie. Ale to wam tylko mogę powiedzieć, że tu na Podgórzu lud daleko lepszy, niż tam w dolinach.

— Bo tam może lud uboższy? — zauważył Andrzej.

— Bóg jeden wie, jak to tam jest, — odrzekł dziad. Niby to tak, a niby nie tak. Bo to w dolinach i grunta lepsze, i gospodarze bogatsi, a jeno taka jakaś zawiść między ludem, taka złość, że niech Bóg uchowa. Tu zaś, przyjdź i do najuboższego, to ci nie odprawi człowieka z niczem, a bodaj cokolwiek wetknie mu w rękę. Tymczasem słońce zaszło i w kaźni zapanowała zupełna ciemność. Dziad, a za nim i Mytro uklękli do modlitwy.

— No, czas nam spać, — rzekł dziad skończywszy pacierze. — Nie wiem tylko, gdzieby tu was, panoczku, umieścić. Ustąpiłbym wam chętnie miejsca, ale ja stary, kaleka...

— Nie, nie, nie potrzeba — przerwał mu z żywością Andrzej. — A to by było pięknie! Spać i tak mi się nie chce; zdrów jestem i silny, przepędzę więc tę noc na nogach, a potem zobaczymy, co Bóg da.

— E, paniczu, nie tak to łatwo zrobić, jak powiedzieć! — odrzekł dziad. — Możebyście wy, Dorożowski, odstąpili wasze miejsce paniczowi?

— U nas nie ma miejsca dla paniczów, mruknął Dorożowski. Panicze niech panują, a nie włóczą się po aresztach. A kiedy ich już licho tu przyniesie, to mogą leżeć pod łóżkiem. Tam bezpieczniej, można się wygodnie ulokować i być pewnym, że się nie spadnie!

Nieprzyjemnie dotknęły Andrzeja te szorstkie słowa, lecz nic na nie nie odpowiedział i ponownie prosił Pańka, aby się o niego nie troszczył, bo już jakoś sam sobie poradzi...

Wtem Mytro szarpnął go z lekka za połę i szepnął:

— Wy panie, pochodźcie jeszcze chwilę, a ja zasnę sobie; skoro się jednak zmęczycie i sen was zmoże, to mnie zbudzicie, a wstanę natychmiast i was puszczę na moje miejsce.

— Dobrze, bracie, Bóg zapłać — odrzekł Andrzej. — Tu masz moje palto, przykryj się niem, bo w nocy będzie zimno, a mnie ono — choć lekkie — ciężyć zaczyna na ramieniu.

Wszyscy się pokładli, jedni rozebrani, drudzy w ubraniu, jeden tylko Andrzej, szeroko rozwarłszy oczy, aby nie zawadzić w gęstej ciemności o śpiących, zaczął zwolna przechadzać się po kaźni, jak zaklęta dusza, zlekka stukając butami o mokrą, asfaltową posadzkę.

VII.

Myśli jego, przytłoczone ciężarem wszystkich doznanych wrażeń, rwały się z początku i wikłały. Bezładne urywki obrazów, które widział dnia dzisiejszego paliły mózg jego krzyczącą niesprawiedliwością, ścinając krew w żyłach bezgraniczną brzydotą swą i ohydą. Lecz zwolna, gdy ciemność coraz gęstsza osłaniała jego wzrok cielesny, myśli się uspakajały i porządkowały, pamięć zapanowywała nad obrazami wyobraźni i duch z trudnością wprawdzie, ale szybko wydobywał się z tej ciemnej toni na jasne przestworza zasiane gwiazdami, na czyste kryształowe wody, na wolny wesoły świat, z którym się pożegnał dziś z rana, niewiedzieć na jak długo!

A świat ten nigdy może nie wydawał mu się tak pięknym, wesołym i wolnym, jak tego właśnie poranku! Nigdy jeszcze dusza jego nie czuła w sobie tyle siły i energji jak przed owym strasznym, głębokim upadkiem. Nigdy jeszcze tyle świetnych nadziei na przyszłość nie roiło mu się w głowie, jak na kilka chwil przed ciosem, co je miał wszystkie w samym zarodku zniweczyć. Nigdy jeszcze gwiazda miłości nie jaśniała mu tak pięknie, tak uroczo, jak właśnie dziś przed ową chwilą nieszczęsną, w której miała zgasnąć może na wieki!

Całe jego życie upłynęło w biedzie i niedostatku, w ciężkiej walce o utrzymanie i naukę. Sierota, bez ojca i matki kończył szkoły, utrzymując się z własnej pracy. Od najmłodszych lat przywykł do pracy i ukochał naukę, a im wyżej postępował w klasach, z tem większym zapałem lgnął do niej. Największą dla niego radością było natrafić na dobrych nauczycieli, którzy umieli zająć ucznia, otwierając przed nim pole do samodzielnego rozmyślania i pracy. Los chciał, że przed samą maturą zaczął chorować na piersi i oczy.

Po maturze więc dla poratowania zdrowia wyjechał Andrzej do kolegi i przyjaciela w góry i tam poznał siostrę tegoż, Hanię. Nieznane mu dotąd uczucie miłości dla kobiety obudziło się w nim nagle, młoda krew zawrzała, zaczął patrzeć inaczej na świat rzeczywisty i mgła poglądów książkowych, zasłaniająca mu dotąd istotę rzeczy, pierzchała coraz bardziej. Przytem i nowe uniwersyteckie otoczenie, wśród którego się ujrzał, naprowadziło go na inne myśli, rozwinęło nowe poglądy na życie, na główny cel nauki, oświaty i wszystkich usiłowań ludzkich. Własna jego przeszłość przedstawiła mu się w odmiennem świetle, liczne wyniesione ze szkoły przekonania i zasady chwiały się i znikały bez śladu. Był to czas ciężkiej wewnętrznej walki, długiej i trawiącej, wśród której miłość go tylko podtrzymywała, dodając mu sił i odwagi. Wraz

z nim i Hania, z którą bez przerwy korespondował, przechodziła wszystkie fazy rozwoju umysłowego i ta wspólność dążeń, zachęcała ich do wytrwania na drodze, którą raz obrali. Postanowili oboje poświęcić życie swe walce o wolność, t. j. o oswobodzenie ludu z pod obcej przemocy, a ludzi od jarzma jakie nań wkładają nieszczęsnie urządzone stosunki społeczne, — walce za swobodę pracy, myśli i nauki, serca i rozumu. Wspólnie roztrząsali te nowe, wyższe ideje, śledzili rozwój ich w całym świecie, cieszyli się z przybywających zwolenników i starali się na wzniosłych tych zasadach zbudować cały swój światopogląd. Były to błogie chwile dla Andrzeja i Hani, jak to zwykle bywa, gdy człowiek z człowiekiem dzieli się najdroższemi myślami i podaje bratnią dłoń na polu najświętszych przekonań! Lecz obojgu im jeszcze czegoś brakowało. Po gorących sporach o teorję, po odczytaniu najpiękniejszych i najlepszych dzieł o przedmiocie, którym się zajmowali, mimowolnie zaglądali sobie w oczy głęboko — jak gdyby tam chcieli wyśledzić jeszcze coś więcej, jak zgodność teorji. Oczy ich pałały ogniem gorętszym od ognia przekonań, usta drżały nie od słów wywodów naukowych, a policzki okraszała nie sama tylko radość z odkrytej prawdy. Krew ich żywiej grać zaczynała, ilekroć się zeszli, a siła która ich pociągała ku sobie, była wcale inną, potężną siłą. I nieraz też wśród czytania, wśród najzawziętszych sporów teoretycznych, głos ich zadrżał zwolna zamierał na drgających ustach, ręka szukała ręki, a wzrok lubego wzroku i...

— Ach! — jęknął półgłosem Andrzej, spieszniej krocząc po ciemnej kaźni, — czemuż te chwile tak szybko przeminęły, czemuż nie trwały dłużej? Dlaczegoż musiałem utracić cię i utracić na zawsze, Haniu szczęście moje?...

Z uczuciem mimowolnej trwogi przebiegał myślą czasy prześladowania i męki za ukochane ideje. Widział się w więzieniu, przed sądem, — przed wspomnieniem jego przesuwały się zjadliwe, bezwstydne urągania gazeciarskie z jego poglądów. Drżał na całem ciele wspominając to wszystko. Dalej przyszła mu na myśl jego strata. Rodzice Hani zakazali mu bywać w ich domu, widywać się z Hanią i pisywać do niej, przejmowali nawet listy, które jej ukradkiem posyłał, aby w utrapieniu swojem choć kilkoma słowy podzielić się z ukochaną istotą. Jeszcze jakieś dwa, trzy razy zabłysło mu dawne szczęście na kilka chwil i wnet zapadła noc, ciemna noc smutku, żalu, rozpaczy... Hanię zmuszono wyjść za mąż za innego. I tę stratę jednak Andrzej przebolał.

— Ha! Cóż — myślał, on człowiek dobry, szczery, myśli jej nie stłumi, serca nie zagłuszy, — ona z nim szczęśliwą będzie, pokochała go, — ja natomiast!... Czemże jestem bez niej? Wszakże ona była moją

duszą, moją siłą, nadzieją! Czemże teraz jestem bez duszy, bez siły, bez nadziei?...

— Trupem! trupem — chodzącym do czasu!

— Wszystko, com najmocniej ukochał w świecie, dziś stało się dla mnie goryczą. Gdybym tak nie był ukochał jej całą duszą, mógłbym teraz jeszcze pokochać drugą, odnaleźć utracone szczęście! Gdybym tak nie był ukochał wolności całą mą istotą, nie znosiłbym teraz niewoli, lub też niewola nie byłaby tak nienawistną dla mnie, tak bolesną!

A dalej przyszło mu na myśl ostatnie widzenie się z nią już po ślubie z tamtym, widzenie się, które miało miejsce niedawno, wczoraj, dziś z rana! Ich rozmowa, ich radość zmięszana z żalem i goryczą, wszystko to pali go, męczy, przygniata. A jednak był szczeœliwym wówczas, ach, jak szczęśliwym, bo w owych chwilach właśnie uczuł, że miłość jego jeszcze nie ostygła, nie zamarła, że ona żyje, pała jak dawniej, opanowuje jego myśli, kieruje wszystkiemi jego dążeniami i żądzami, zupełnie jak dawniej. Prawda, że teraz dziesięćkroć głębiej uczuł swą stratę, rana już trochę zabliźniona wpływem czasu, rozwarła się na nowo; krew uśpiona żalem i cierpieniami znów zagrała, lecz cóż ztąd! Wraz z dawną miłością poczuł w sobie i dawną siłę, dawną ochotę do pracy, do walki za wolność...

— Haniu, serce moje, cóżeś ty ze mną zrobiła? — szeptał upojony złudnem szczęściem.

— Com ja z tobą zrobiła?... Wszak sam mawiałeś, że mnie nie wiążesz... A ja tak wiele, tak strasznie wiele przecierpiałam dla ciebie! Lata całe!...

Łzy potoczyły się z jej oczu, a on przyciska ją do serca, jak gdyby dawne, urocze chwile ich swobodnej miłości jeszcze nie minęły.

— Haniu, szczęście moje — cóżeś ty zrobiła ze sobą? Czy znajdziesz dość sił, aby się oprzeć otaczającym brudom, rozwijać się i bronić wolności i dobra jakeśmy to sobie nieraz postanawiali?

— Nie zapomniałam ja tego, mój miły i nigdy nie zapomnę. A sił wystarczy mi na to. Mój... mój mąż pomoże mi!

— A ze mną co się stanie, Haniu? Któż mnie dopomoże wytrwać na ciernistej drodze samemu?

Ona uśmiechnęła się słodko.

— Nie trwóż się, miły mój! Nie frasuj! Jeszcze wszystko zmieni się na dobre i wszyscy będziemy szczęśliwi, wszyscy!...

Andrzej chwycił się za głowę oburącz i znów zaczął biegać po kaźni.

— Wszyscy będziemy szczęśliwi, wszyscy?! Nie — to nieprawda. Haniu! Wszyscy będą szczęśliwi kiedyś, może będą nimi wnuki nasze, którzy nie będą wiedzieli, jak cierpieli, jak się męczyli dziadowie i pradziadowie dla ich szczęścia! Cóż my znaczymy? Jednostka wśród miljonów! Jakaż jej wartość? I my chcemy być szczęśliwi, kiedy miljony dokoła nas wśród łez się rodzą i giną!...

Chodził dalej z szeroko rozwartemi oczyma, jak gdyby chciał wciągnąć w siebie tę gęstą ciemność. I zdawało mu się, że w istocie płynie ona do wnętrza jego tysiącem potoków, płynie bez przestanku wszystkimi otworami, zalewa wszystkie nerwy, napełnia mięśnie, kości i żyły, że już nie krew, lecz gęsta ciemność leje się chłodnym strumieniem do piersi jego i serca. Dreszcz go przejmuje, słabo mu się zrobiło, lecz trwało to krótką chwilę. Chciał się otrząsnąć z tej mary, ale wnet się przekonał, że to nie mara senna, tylko smutna rzeczywistość.

Więc chodził dalej niezmordowanie, wciągając wszystkiemi porami chłodnawą wilgoć, nasiąkał się nią jak gąbka, oddychał nią, czuł jej chłodny powiew w gardle, w płucach, — wszędzie. I robiło mu się lżej, coraz lżej. Ból ustawał. Wyobraźnia zamierała; przed oczyma jego duszy przestały się przesuwać obrazy smutne, zarówno jak i wesołe. Wszystko oniemiało, przycichło. Zrobiło mu się tak lekko -- jakby w letniej kąpieli. Zdawało mu się, że pluszcze się z cicha w czystych, lekkich falach, fale cichutko szemrząc pieszcząc go rozkosznie. Aż tu przecięto mu żyły — tak jakoś nieznacznie, bez bolu i krew z nich płynie, tak łagodnie, tak słodko i mile. Wypływa ta niespokojna, burzliwa krew rewolucyjna, a zamiast niej w żyłach wolno zaczyna obiegać gęsta, chłodnawa ciemność... Wraz z ostatniemi kroplami krwi, łzy palące polały się z oczu Andrzeja. Daleki odgłos dzwonu, jakby uderzenie piorunu, przerwał nagle ciszę, budząc Andrzeja z zadumy. Drgnął przerażony i oprzytomniał w oka mgnieniu.

— Ach, to pierwsza godzina, a jam taki zmęczony, ledwie żyję! — szepnął i omackiem zaczął szukać miejsca na łóżku obok Mytra.

— A to pan? — szepnął budząc się Mytro — kładź się pan tu, a ja wstanę.

— Nie, nie potrzeba, odrzekł Andrej, — dla mnie dość miejsca, ot tu, koło ciebie! I położył się przy Mytrze objąwszy rękami jego szyję. Gorąca, rewolucyjna krew snać jeszcze z niego nie wypłynęła; łzy znowu mu się polały z oczu, — jął gorąco całować twarz Mytra, a łzy jego spadały dużemi kroplami na młodą, dziecięcą twarz nieoświeconego brata.

— Czegoż płaczecie, panie? — pytał z współczuciem Mytro.

— Płaczę, bom nieszczęśliwy, bracie!

— Nie płaczcie — uspakajał go chłopiec, całując serdecznie, jakoś to będzie. Jam może jeszcze nieszczęśliwszy od was, a jednak nie płaczę!

Ciemność i wilgoć coraz gęściej zapełniały kaźnię, przygniatając swym ciężarem wszystkie serca, które tam biły: jedne spokojnie, drugie trwożliwie, inne boleśnie, a niektóre nawet szczęśliwie. Na krawędzi zaś łóżka objąwszy się wzajemnie, zasnęły obok siebie dwa młode umysły: oświecony obok ciemnego i trudno było odgadnąć, które z tych dwóch nieszczęśliwych serc było — szczęśliwsze...

VIII.

Nazajutrz aresztanci wstali bardzo rano. Obudził ich kapral krzykiem i przekleństwami. Stebelskiego i Dorożowskiego wysłali wnet do zamiatania kancelarji i kurytarzy, noszenia wody i do innej „domowej“ posługi. Dziad Pańko, Mytro, płaczący chłop wczorajszy i czarnowłosy żydek wyszli zamiatać miasto. W kaźni zostali Andrzej, Bowdur i stary żyd, który zawsze jeszcze leżał z gołą głową na mokrej podłodze, charcząc jak poderznięty. Bowdur również nie wstawał, a myć się ani myślał; napił się tylko wody, wyciągnął gołe nogi błyszczące od puchliny i znów położył się w swoim kącie.

Na dworze tymczasem zaczynało już świtać. Słońce wschodziło na pogodnem niebie, ludzie budzili się do pracy z pokrzepioną nadzieją i energją, z serc płynęły modlitwy o chleb powszedni, o zdrowie i ciche spokojne życie. W kaźni wszystko szło innym trybem. Tu świadomość budziła się tylko dla nowych mąk; to też każdy nowy dzień był witany strasznem przekleństwem.

— Niech ich piorun spali z ich porządkami! — mruczał Bowdur leżąc w swym kącie. — Głodzą człowieka do godziny dziesiątej, nim dadzą tych nędznych kilka grajcarów! — Żeby ich tyle kolek w każdy bok ukłóło, ile ja to od nich tych grajcarów dostałem!

W kaźni nastał już ów szary zmrok zapełniający ją dzień cały, a Andrzej korzystając z wolniejszego miejca, zaczął chodzić po niej, chociaż nogi mu drżały jeszcze ze znużenia i głowa ciężyła okrutnie. Czuł, że jakiś straszny żar pali i brzydził się ledz ponownie na te cuchnące sienniki, obrażające skórę samą zgniłą parą, która z nich wychodziła. Chodził i dumał. — Dlaczegoż to człowiek nie jest maszyną, którąby sam rozum nakręcał jak potrzeba? Po cóż istnieje jeszcze ta druga nieobliczona siła — siła uczucia, która gmatwa i myli prawidłowy ruch rozumowej machiny? Ot i ja naprzykład, gdybym się był rozumem tylko kierował, czyż siedziałbym tutaj dzisiaj? Nie! żyłbym sobie we Lwowie, klepiąc biedę co prawda, jednak żyłbym, pracował, czuł się wolnym

i bezpiecznym... do czasu chociażby. Lecz cóż rwałem się koniecznie do Drohobycza, aby z nią się zobaczyć, chociażby przez chwilkę tylko! No i widziałem ją; czułem w piersi znowu tętno tego uczucia, które tyle łez mi już wycisnęło w zamian za kroplę szczęścia i słodyczy a dzisiaj znowu to samo! A szkoda, że się tak złożyło właśnie teraz, gdy czuję w sobie podwójną siłę do pracy, lecz cóż z tego: ręce związane!

Chodząc po kaźni, Andrzej kilka razy spojrzał na Bowdura i zauważył, że tenże nie spuszczał z niego oka, w którem się dziwne jakieś uczucie malowało. Andrzejowi zimno się robiło pod wrażeniem tych spojrzeń pozbawionych ludzkiego wyrazu i świecących przykrem blaskiem zgniłego próchna. Czuł się tembardziej jeszcze przygnębionym wśród tych ciasnych murów, serce jego biło pełne trwogi, jakby się gwałtem wyrywało na jasny, wolny świat z ohydnej nory zamieszkałej przez upiora wysysającego mu ciepłą krew z piersi. Lecz Andrzej się nie poddawał tym uczuciom — w sercu jego za wiele było miłości do ludzi, a zwłaszcza do tych co są poniżeni i prześladowani, zbyt wiele wiary w dobroć ludzką, aby ni stąd ni zowąd podejrzywać o jakiekolwiek złe zamiary człowieka tak jak on nieszczęśliwego. Mimowolną trwogę swoją starał się wytłumaczyć znużeniem i osłabieniem fizycznem i przezwyciężywszy ją w końcu rzucił się na dziadowe łóżko, aby trochę odpocząć. Lecz za chwilę zerwał się jak oparzony, trzęsąc się cały, chwytał się konwulsyjnie to za pierś, to za głowę i znowu chodził po kaźni. Lecz straszliwe znużenie ostatecznie przemogło: upadł na łóżko i niebawem usnął twardo.

I śni mu się, że jakaś ślizka brudna ręka zwolna rozpina mu ubranie, rozrywa koszulę, a dalej i własną pierś jego — kości się usuwają, a owa ręka tłoczy się w głąb, chłodna, obrzydliwa. Już chce chwycić za serce, ostrożnie się doń dobiera przez sieć żył i arterji, jak ptasznik łowiący wróbla wśród zarośli. Już, już się zbliża, — czuć jej chłód przenikający do głębi, jak lodowate ostrze noża. Lecz serce poczuło już wroga, zabiło silnie, rzuca się gwałtownie na wszystkie strony, jak ptaszyna w klatce, wytęża się, i zrywa aby ujść dłoni napastnika. Lecz tajemnicza ręka, parta niewidomą siłą, posuwa się coraz dalej i dalej, rozwarła szeroko dłoń potężną i już, już ma schwytać trzepocące serce, chwycić je i zdusić! Ostry, nagły ból jak błyskawica przeszył pierś Andrzeja; — zerwał się i stanął na równe nogi:

— Co się zemną dzieje? — zawołał przecierając zaspane oczy. Zdawało mu się, że z piersi jego w tej chwili spadł ogromny ciężar, który go dotąd przygniatał, majaczyło mu się także, że we śnie widział brudną twarz Bowdura nachyloną nad sobą. Lecz to zapewne był sen tylko, gdyż ciężaru na piersiach nie miał żadnego, a Bowdur siedział spokojnie

w swoim kącie z workiem na nogach i nawet na niego nie patrzał, tylko oczy gdzieś w kąt miał zwrócone, jakby liczył plamy na ścianie.

— Zapewne spinka gniotła mi pierś, pomyślał Andrzej, i zdjąwszy ją ułożył się znowu do snu.

Zbudziło go niebawem otwieranie drzwi i hałas wracających z roboty aresztantów. Wnieśli oni ze sobą odrobinę świeżego powietrza, jakby jakąś woń wolnego świata, która rozweseliło cokolwiek kaźnię. Do tego jeszcze czarnowłosy żydek znalazł przy zamiataniu „czworaga“, którym się niezmiernie cieszył a za który sam nie wiedział jakichby specjałów nakupić na solenny obchód tego szczęśliwego dnia. Stebelski i gazda Dorożowski przynieśli sobie po garści niedogarków z różnych cygar, tylko że Dorożowski swoje natychmiast schował, Stebelski zaś podzielił się z innymi więźniami. Te niedogarki były jedyną zapłatą aresztantów zamiatających kancelarję, ale zapłatą bardzo cenną i pożądaną w obecnem ich położeniu.

Wreszcie nadszedł i wachmistrz z pieniędzmi, wyliczył każdemu po 14 centów i posłał dwóch t. j. dziada i Mytra pod eskortą policjanta do miasta po chleb i inne sprawunki. Andrzejowi też dali 14 centów, a on dodał do nich jeszcze własnych dwadzieścia i prosił o kupienie mu chleba i kiełbasy. Gdy Andrzej wyjmował z sakiewki owych 20 centów, nie widział zapewne jak Bowdur śledził jego ruchy, mierzył i ważył okiem objętość sakiewki, z jaką zazdrością i niemal gniewem patrzał na ową dwudziestocentówkę, jakby to ona jemu — Bowdurowi z pod serca była wyjętą.

Andrzej zaczął się znowu przechadzać po kaźni w głębokiej zadumie. Myślał o Hani, o jej pożyciu z mężem, które znał z jej listów, o tem że jest sam na świecie po stracie najdroższej i ukochanej istoty. To znów błyskała mu weselsza myśl — nie, nie jest sam na świecie: Ma towarzyszy, szczerych, serdecznych, gorąco oddanych tej samej myśli, co i on, dopomogą mu w potrzebie, poradzą — ale pomimo to — w tem miejscu myśl urywa się znów na smutnej, bolesnej nucie, dalej nasuwa się znowu inna nie mniej pocieszająca od pierwszej: wszak i ona nie jest dla mnie straconą: kocha go, jak wprzódy, nie stroni, nie zapiera się przeszłości, pisuje jak dawniej i jak dawniej śpieszy ze szczerą radą; on też jest dobrym uczciwym człowiekiem i serdecznym przyjacielem, ale pomimo to wszystko — i znów następuje przerwa w wesołych myślach i Andrzej jakby pod ciężarem wielkiego bólu spuszcza głowę, a z oczu płyną dwie nieśmiałe, drżące łzy, piekące jak ogień i nie przynoszące żadnej ulgi sercu. Ociera je prędko i znów przechadza się po kaźni, starając się zwrócić swe myśli na otaczające go przedmioty.

— Rzecz godna uwagi, — mówił sam do siebie. Póki nie wspominano o jedzeniu, póty i ja nie czułem głodu i żołądek zachowywał się spokojnie, jakkolwiek próżny. A teraz przypomniał sobie i jak stary pies zaczyna burczeć i kurczyć się. Wartoby ten objaw zapisać do psychologicznego dziennika p. t. „wpływ myśli na funkcje organiczne"... Dobrzeby było prowadzić taki dziennik, do któregoby się zapisywało każdy objaw uczucia, każde wybitniejsze wrażenie i to przez czas dłuższy codziennie! Utworzyła by się ciekawa statystyka życia umysłowego! Poznalibyśmy jakiemi wrażeniami i uczuciami człowiek najwięcej żyje, jaki jest powszedni żywot tej „bożej iskry", która w rzadkich wyjątkowych chwilach tak wysoko się wznosi! — Zajęła go myśl prowadzenia takiego dziennika i rozpatrywał ją ze wszystkich stron, zagłębiając się w szczegóły, jakby miał zamiar niebawem wprowadzić w życie. Trzeba kilku, kilkunastu ludzi, myślał on, ludzi sumiennych, miłujących prawdę, którzyby podzielili między siebie ważniejsze objawy psychicznej działalności notując przeważnie objawy swego działu, objawy zaś innych działów tylko co ważniejsze. Wymagá to długoletniej wytrwałej pracy, jednak byłoby ciekawem i ważnem dla wiedzy. Dotąd psychologja zajmuje się tylko jakością wrażeń, o ilości zaś ich ma smutne wyobrażenie. A przecież zdaje się, że tu znalazłby się klucz do rozwiązania nie jednej psychologicznej zagadki.

Powoli takie myśli o nauce, o różnych teoretycznych kwestjach — myśli, nie mające nic wspólnego z sercem i uczuciem upoiły Andrzeja. Przypomniał sobie młodych kolegów, zapalonych, szczerze oddanych myśli o wolności i szczęściu ludzi — przypomniał ich dyskusje, ich wspólne usiłowania do rozszerzenia zakresów wiedzy, dziecinną radość z poznania każdej nowej prawdy, i poczuł się tak rzeźkim i wesołym, jak gdyby znów się znalazł między nimi, jakby wieczna ohyda rodzaju ludzkiego — niewola — ani jego, ani nikogo na świecie nie gnębiła! Usta jego blade, lecz szczęśliwe mimowoli szeptały wyrazy pieśni:

Wszak nie zawsze mórz odmęty niepokoją huragany,
I nie każdy statek tonie — burzą skołatany,
Tem się pociesz, bo któż zgadnie — z pośród żeglujących wielu
Tobie może los przeznaczył dopłynąć do celu!

IX.

Brzęknęła kłódka, otwarły się drzwi, — aresztanci wrócili z miasta z zakupioną żywnością. Wszczął się gwar. Dziad Pańko rozdawał chleb, sól, tytoń, cebulę, stosownie do tego kto dał na co pieniądze. Aresztanci usiedli gdzie mogli i zaczęli się posilać, Bowdur, który widocznie był

dziś rozdrażniony przeklinał półgłosem dziada Pańka, że jemu dał taki mały bochenek, a temu czarnowłosemu prosiakowi taki duży.

— Ależ bo jego za 19 krajcarów, a twój za 14, — tłómaczył dziad, nie zważając na przekleństwo Bowdura.

— Bodajbyś czternaście zębów stracił, żebraku! odburknął zamiast odpowiedzi Bowdur i zaczął jak wilk gryść chleb, nie krając go ani łamiąc.

— Macie tu nóż Bowdurze, — powiedział Mitro.

— Na co? Chyba ci głowę nim uciąć! — wrzasnął Bowdur i ugryzł całą gębą kawałek chleba. W rękach jego został w jednej chwili z całego bochenka już tylko mały kawałeczek. I Andrzej jeść począł. Przyniesioną kiełbasę pokrajał na równe części i podzielił między wszystkich, nie wykluczając nikogo. Dorożowski i Bowdur nie podziękowali ani słowem, a Bowdur wziął podany kawałek i nie spojrzawszy nań nawet, rzucił w otwarte usta jak w otchłań.

Patrząc ze strony na Bowdura jedzącego można było pomyśleć, że człowiek ten okropnie jest głodnym, z taką nienasyconą żarłocznością pożerał swój chleb, tak prędko znikały mu w ustach ogromne jego kawałki. Inni jeszcze należycie nie zabrali się do swoich porcji, a Bowdur nie miał już ze swojej ani okruszyny. Przez chwilę spoglądał smutnie na ręce próżne, a na twarzy jego malowała się taka męczarnia głodowa, jakby od kilku dni nic w ustach nie miał. Andrzej popatrzył nań i zląkł się tego zgłodniałego wyrazu i nienasyconej żarłoczności. Zdawało mu się, że Bowdur mógłby teraz zjeść pierwszego lepszego człowieka i że lada chwila gotów jest rzucić się na którego aresztanta i odkąsi mu taki kawałek żywego ciała jak te kawałki chleba co znikły bez śladu w jego ustach.

— Czy on zawsze taki głodny? — pytał Andrzej dziada, ze wstrętem odwracając się od Bowdura.

Dziad popatrzył i równie prędko się odwrócił.

— Co tobie Bowdurze? zapytał. — Szaleństwo cię ogarnia, chcesz ludzi kąsać, czy co? Potem zwracając się do Andrzeja dodał:

— Nie, to dziś dopiero coś się z nim zrobiło.

Zwykle po spożyciu całego bochenka, wypija pół skopca wody i kładzie się na swem miejscu.

— Może to i szaleństwo, nie wiem, odrzekł ponuro Bowdur, — wiem tylko, żem głodny.

— A możeby pan dobrodziej był łaskaw zaczekać, aż służący z restauracji pieczeń przyniosą! — drażnił go dziad.

— Jeść mi się chce, głodny jestem! powtarzał ze ślepym uporem Bowdur.

— No, to jedz, czyżci kto broni? zażartował czarnowłosy żydek:

— Nie bronisz? — zwrócił się do niego Bowdur; wpijając się oczyma w nadpoczęty duży chleb, co leżał przed żydkiem, — nie bronisz, to dobrze. Dawaj! — i wyciągnął obie ręce. Żydek schwycił chleb z przed rąk Bowdurowi.

— Dawaj! — zawołał Bowdur i oczy jego zabłysły jakimś strasznym ogniem, — dawaj, bo albo ty umrzesz, albo ja!

— Owa, — przedrzeźniał żydek — albo ty, albo ja! Za co ja mam umierać? Ustąp się bez kłótni, bo jeść mi się chce.

— Ale i ja także chcę — odpowiedział łagodniej Bowdur, — dawaj mi tu chleb!

— Czyś się wściekł, czy co? Czego chcesz odemnie? krzyknął żydek.

— Daj chleba, miej litość nademną! błagał płaczliwym głosem Bowdur, lecz wzrok jego zapałał się coraz straszniejszym ogniem.

— Bądź łaskaw Bowdurku, mój miły, odpowiedział również słodko żydek, — i pójdź sobie z bogiem do djabła!

Zamiast odpowiedzi na tę pobożną odprawę Bowdur podniósł wysoko w górę obie pięści i naraz — jakby dwa młoty — spuścił je na głowę żydka. Jak toporem podcięty powalił się chłopiec, a krew buchnęła mu z nosa i ust i oblała chleb, posadzkę i nogi Bowdura. Ale żydek milcząc, zerwał się jak szalony na klęczki i wbił z wściekłością swe paznogcie w nagie, opuchłe nogi Bowdura. Bowdur zaryczał głucho z bolu i począł kopać go nogami, lecz napróżno usiłował się uwolnić. Nie widząc innej rady chwycił jedną ręką swego zapaśnika za włosy, a drugą począł bić w plecy; chłopiec jednak nie puszczał, lecz coraz głębiej wbijał mu ostre paznogcie w ciało, tak że z pod każdego paznogcia krew występować zaczęła. Wówczas Bowdur cofnął się w tył gwałtownym rzutem, pociągnąwszy za sobą chłopca, który padł twarzą na posadzkę. Ale i teraz jeszcze żydek nie jęknął nawet, lecz uchwyciwszy z błyskawiczną szybkością zakrwawiony chleb rozmachnął się i na oślep cisnął nim w brzuch Bowdura tak silnie, że temu aż zaburczało we środku; puścił z rąk czuprynę chłopca i schwycił się oburącz za brzuch, jakby w obawie by mu się nie rozleciał w drobne kawałki jak rozbita beczka. Żydek tymczasem zerwał się na równe nogi. Twarz jego, posiniała z gniewu i bolu, cała była krwią oblana, w oczach świeciły łzy, wargi rozcięte wydęły się, zacisnął zęby, a potem wyprostowawszy się, nie mówiąc słowa, zamachnął się na Bowdura powtórnie ciężkim bochenkiem chleba.

— Rozbrójcie ich, na miłość boską! zawołał trwożnie Andrzej, odwracając wzrok od tego okropnego widoku. Był on bardziej jeszcze

wrażliwy na cudzy ból, niż na własny i dlatego w tej chwili zdawało mu się, że każdy cios godzi w niego, raniąc go boleśnie.

— O nie paniczu! odpowiedział dziad zajadając spokojnie dalej, nie potrzeba! wyjdzie im to na zdrowie, jeżeli się rozruszają trochę... A jak utoczą z siebie chociaż parę miarek nikczemnej krwi, to ulży im się na dobre. Dajcie pokój panie, oni tak jak te psy, pogryzą się, a potem poliżą. A gdyby się kto między nich teraz wmięszał, to gotów jestem pójść o zakład, że z pewnością rzuciliby się na nieproszonego rozjemcę.

Zapaśnicy tymczasem okryci pianą, zlani posoką, stali naprzeciw siebie, oczekując kto pierwszy da hasło do nowego boju. Niedługo czekali — znowu jakby na komendę rzucili się na siebie.

Bowdur uderzył żydka pięścią po ręce i silnym razem wytrącił mu chleb z dłoni, żydek nie zwlekał długo z odpowiedzią, ale oddając pięknem za nadobne poczęstował go kułakiem między oczy. Po tym wstępie, schwycili się obaj za bary i już nie widać było kto kogo bije, drapie, kaleczy, aż póki obaj nie padli na podłogę i puszczając się wzajemnie nie zaryczeli jak zranione zwierzęta: „Gwałtu! gwałtu! ratujcie“!

Na krzyk wbiegł do kaźni kapral z trzepaczką w ręku, a ujrzawszy na ziemi skrwawionych zapaśników, krzyczących i zaperzonych obrócił trzepaczkę „grubszym końcem“ i ująwszy rzemień w rękę, drewnianym trzonkiem począł na oślep smagać niemiłosiernie. Zastukał trzonek o kości, uderzył głucho o nabrzękłe, miękkie jak poduszka ciało, a zapaśnicy ciągle jeszcze nie przestawali krzyczeć, podobni do wieprzów, których niezręczny rzeźnik pchnął niefortunnie nożem pod żebro. Pragnąc się uchronić przed ciężkiemi razami pierzchnęli wreszcie do kątów, ale trzepaczka kaprala i tu ich dosięgła smagając niemiłosiernie po plecach.

— A draby! A złodzieje! A opryszki! syczał zadyszany kapral. Nie dosyć wam jednej biedy, jeszcze się bić będziecie? Poczekajcie gadziny, nauczę ja was!

— To on mię pierwszy zaczepił! wybuchnął żydek z płaczem, Chciał mi chleb wydrzeć! Com ja mu winien?

— A ty, zbóju jakiś! pienił się kapral i posypał się grad razów na Bowdurowe plecy. Bowdur milczał zwinąwszy się w kłębek, aż póki zmordowany kapral nie zaprzestał smagać.

— Ha, poczekaj! ja cię nauczę jak drugim chleb odbierać! Mało ci swego, żarłoku nienasycony? krzyczał kapral cofając się ku drzwiom.

— Mało! — głucho, ponuro odpowiedział Bowdur.

— Co? śmiesz mi jeszcze odpowiadać? wściekał się kapral, grożąc z daleka trzepaczką. Nie będziesz mi milczał wisielcze przeklęty. Czekaj, jeżeli ci za mało to i tego niedostaniesz! Przepościwszy się trochę

nie będziesz tak skorym do bójki. Umyślnie poproszę pana wachmistrza, ażeby ci jutro nie dał ani centa! Będziesz ty mi wtedy dopiero cienko śpiewał, poczekaj! A wy tu — zwrócił się do reszty aresztantów — nie dawajcie mu nic ani powąchać! Niechaj wie, psia krew, co to znaczy bijatyki wyprawiać! A jeżeli znowu zacznie zawołajcie mię natychmiast, a potrafię go uspokoić!

Ponure, głuche milczenie po odejściu kaprala zapanowało w kaźni. Obecnym zdawało się, w tej chwili, że ktoś dusił ich za gardło, i kęs chleba wypadał z ust każdemu. Wszyscy czuli, że scena, która przed nimi się rozegrała, ohydną była i nieludzką.

Tylko Stebelski siedzący nieruchomie na zwykłem swem miejscu, spożywał spokojnie chleb z małemi kawałkami kiełbasy, a gdy więzienie zaległa zupełna cisza, zwrócił się do Andrzeja i wodząc dłonią do koła, wygłosił uroczyście: Homo homini lupus!

Andrzej blady jak śmierć, wstał zwracając się do Bowdura, który leżał skulony w swym kącie, drżący, oblany krwią i siny jak bez, ale widok ten odebrał mu znowu siłę, nie mogąc słowa przemówić — stał tak i patrzał z wyrazem nieopisanego bolu na twarzy.

— A widzisz, trzeba ci było tego? odezwał się dziad Pańko zabierając się znowu do jedzenia.

Bowdur milczał.

— Bowdurze, przemówił wreszcie Andrzej, jeżeliś głodny, czemuś mi nic nie powiedział? ja i tak swego chleba nie zjem. Po co ci było zaczynać bójkę, udzielę ci tyle chleba, ile tylko zechcesz.

Mówiąc to wziął bochenek, ukroił kawałek dla siebie, a resztę podał Bowdurowi.

— Nie potrzebuję twego chleba! zjedz go sam i udław się — wybuchnął Bowdur nie odrywając wzroku od powały i ciskając podany chleb pod łóżko. Andrzej osłupiał ze strachu i zdziwienia i nie rzekłszy słowa usunął się na bok. Mytro tymczasem wlazł pod łóżko, podjął chleb, otarł go, pocałował i położył przed Andrzejem.

— Co ci się stało, tumanie jakiś? zwrócił się groźnie dziad Pańko do Bowdura. Czemu rzucasz chlebem świętym! Kolki by cię sparły, odmieńcze ty jakiś!

— Was wszystkich niech zeprą — odburknął Bowdur, — wszystkich! I mnie także z wami! Powiedziawszy to uderzył z łoskotem pięścią o podłogę, a potem zwinąwszy się w kłębek, legł na dawnem miejscu.

X.

Długo chodził Andrzej po kaźni, zanim zdołał się nieco uspokoić. A kiedy odzyskał pewną równowagę ducha, usiłował ulecić myślą het

daleko, z tego przeklętego miejsca płaczu i niedoli. Przenosił się myślą w inne, piękniejsze światy, gdzie młode a czyste serca wznosiły wysoko w górę sztandar ludzkości, gdzie wykluwały się potężne falangi, co kiedyś nie długo, miały stanąć do walki w obronie ludzkości, świętych jej praw i odwiecznych potrzeb i pragnień!

Przenosił się dalej myślą tam, gdzie biło jedyne przychylne mu serce kobiece, oblewające się może w tej chwili krwią żalu nad jego nieszczęściem. Więc pocieszał w myśli swą Hanię, zagrzewał towarzy-, szy, by nie wypuszczali z rąk raz podjętego sztandaru, nie zniżali go ani na chwilę, bo poniżona, zgnieciona i przydeptana ludzkość cierpi w miljonach miljonów! Myślał o obchodzących go osobiście sprawach o swej miłości i niedoli. A o Bowdurze wraz z jego cierpieniem i gniewnym uporem zdawał się zapominać.

O głowo młoda, zapalona, a samolubna! w świętym zapale nie widzisz może jak samolubne są wszystkie twe myśli i dążności! Czyż sprawa twoja, jakkolwiek ma na celu braterstwo wszechludzkie i szczęście społeczeństw, nie jest ci tak drogą dla tego właśnie, że jest twoją sprawą, że w niej zbiegają się twoje myśli, pragnienia, przekonania i cele, że praca i cierpienie dla niej sprawiają tobie samemu przyjemność? Czyliż istota, którą kochasz, jakkolwiek nie krępujesz jej niczem i pragniesz jej szczęścia w spólnem pożyciu z raz wybranym mężem, czyliż istota ta nie dlatego jest ci tak drogą, że przy niej spędziłeś najpiękniejsze chwile swego życia, że jej pocałunki dotąd jeszcze płoną ci na twarzy, że dotąd jeszcze czujesz dotknięcie pieszczotliwej jej dłoni? O głowo młoda i samolubna! Porzuć na krótką przynajmniej chwilę myśl o sobie samej, przestań pocieszać siebie, a spojrzyj raczej dokoła wzrokiem uważnym, kochającym, a braterskim! Wówczas może spostrzeżesz w pobliżu stokroć nieszczęśliwszych. Ujrzysz biedaków ze wszystkiego odartych, pozbawionych promyka pociechy i nadziei, tej nadziei, którą ty się pocieszać możesz! Spostrzeżesz nieszczęśliwych, co rzuceni na dno społecznej niewoli nie przynieśli z sobą ani myśli jasnej, ani szczęśliwych wspomnień, ani nawet błyszczącego mamidła nadziei! Możeby jedno przyjaźne, a szczere twe słowo zdołało osłodzić ich dolę, uciszyć w sercu walkę straszniejszą niż wszystko, o czem pomyśleć zdołasz, możeby stopiło ciepłem tchnieniem grubą lodową powłokę, zamrażającą przepełnione boleścią i cierpieniem serca tych nieszczęśliwych! Ale cóż, olbrzymia boleść zamyka zwykle serca ludzkie, jak chłód wieczorny stula kielichy kwiatów, z zaciśniętemi ustami mijają się ci nieszczęśliwi w milczeniu, chociaż nieraz kilka słów, lub uścisk ciepłej braterskiej dłoni mógłby ulżyć o połowę ich cierpienia. O ludzie, ludzie! Nie zbójcy,

złodzieje i przestępcy, nie panujący i poddani, nie kaci i katowani, nie sędziowie i podsądni, ale biedni, przybici i przygnębieni ludzie!...

Bowdur tymczasem leżał w swym zatęchłym kącie, z bolącem, na pół już ciałem, z duszą rozbitą, pozbawioną promienia nadziei, pociechy, porady, leżał i myślał, a wspomnienia jak niewyraźne obrazki przesuwały mu się w pamięci.

Nędza od lat najmłodszych, od dzieciństwa... Wzgarda, szturchańce i kije... Żarty i drwiny towarzyszy, którzy stronią od niego nie przyjmując do swego grona... Bękart! znajda! Bowdur!... Ciężka praca u złych, obcych ludzi... Słota, mrozy, pragnienie, zmęczenie — wszystko to dokucza tylko gospodarzowi, najmicie przenigdy!

Najmita żelazny, najmita wytrzyma — wytrzymać musi, wszak za to płacę pobiera!... Cherlawe, słabowite, niedołężne, nędznie płatne, licho odziane... Bez przyjaciela, towarzysza... Nie, był przyjaciel, był towarzysz: w Borysławiu się znalazł przy korbie. Szczery przyjaciel, wierny druh, złote serce! Cha, cha, cha!... Lecz i ten pozazdrościł jedynego szczęścia: zabrał dziewczynę, zabrał, ożenił się!... Och, bo gdyby biednemu nie zawsze wiatr dął w oczy, wówczas... możeby i biedny, nie był biednym!

W takich to urywanych szkicach i obrazkach, przeplatanych szeptanemi półgłosem słowy, przesunęły się w myśli Bowdura pierwsze jego młode lata. Nic w nich nie było pociągającego, nic takiego na czemby mogła dusza spocząć, a pamięć się rozweselić. Myśl atoli nie wstrzymana niczem leci dalej, przewraca karty przeszłości jak człowiek, który włożywszy do książki pieniądze, szuka ich, przewracając kartkę po kartce.

Co zapędziło Bowdura do Borysławia? O tem on nawet wspominać nie chce — straszne to wspomnienie, krew w żyłach mrożące. Rychło jednak niemiłosierna pamięć i to mu przypomnieć musi. Nie namyślając się długo — uciekł, a uciekając raz jeszcze spojrzał na płonące... ale czy wieczornym blaskiem?... chaty i przeklął je. I odtąd przed nikim eszcze nie zdradził swego pochodzenia, jakkolwiek od chwili owej minęło już lat pięć. Kto wie, może i sam już zapomniał nazwę nieszczęsnej wioski? W Borysławiu odżył trochę. Chociaż ciężko było pracować wśród wyziewów naftowych, zawsze jednak płacono z razu nieźle, nie morzył się człowiek głodem, jak to bywało w służbie. Podobny do głodnego wilka, Bowdur rzucał się na strawę i jadł, jadł bez pamięci, przejadał wszystko co zarobił, chodził na wpół nago, ale jadł, żeby raz przecie czuć sytość w żołądku. Wódki z razu nie pił, aż potem dopiero kiedy *jej* nie stało... rozpił się na dobre!

W Borysławiu, przy korbie Bowdur po raz pierwszy w życiu zaprzyjaźnił się z człowiekiem, który był takim, jak on sierotą. Była to zacna dusza i Bowdur przez cztery lata żył z nim jak z rodzonym bra-

tem. Pracowali razem, mieszkali razem i prawie nigdy nie rozłączali się ze sobą. W potrzebie pomagali sobie wzajemnie nie pytając: a kiedy oddasz? Chociaż prawdę mówiąc Bowdur więcej brał, niżeli dawał, i w tej chwili nawet, jakkolwiek uważa Semena za fałszywego zdrajcę, z lubością atoli wspomina o minionych chwilach przyjaźni i koleżeństwa. Piękne to były czasy — ale do djabła, minęły i nie wrócą. A szkoda, że trwały tak krótko! O dziewczynę dopiero przyjaciele pokłócili się i rozstali. Pokochali obaj biedną robotnicę, sierotę jak oni, wzrosłą we wzgardzie i poniżeniu, przywykłą do milczącego posłuszeństwa i bezgranicznej pokory, do zupełnego wyrzeczenia się i zaparcia własnej woli, własnej myśli nawet. Coś niepojętego stało się wówczas z Bowdurem. Szorstka jego, samolubna, dzika natura nabrała więcej jeszcze dzikości w towarzystwie tej cichej, łagodnej, posłusznej i dobrej istoty. Kochał ją, ale ta jego miłość przygniatała ją srożej jeszcze do ziemi — srożej i bezlitośniej, aniżeli całe jej dotychczasowe życie. Ileż to wymyślań ile razów musiała ścierpieć od niego! Ach, a ile gorących łez wylała! Nigdy jednak Bowdur nie usłyszał z ust jej słowa niechęci. I to go właśnie gniewało. Dopiekał jej nieraz niemiłosiernie, żeby chociaż na chwilę obudzić siłę oporu, ale napróżno, ona tej siły nie posiadała wcale, ale natomiast miała inną siłę łagodną, milczącą, posłuszną siłę miłości. O, bo ona, ciche jagnię, kochała tego okrutnego człowieka! I ta właśnie miłość dodawała jej otuchy do spokojnego znoszenia wszystkich szalonych jego wybryków. Aż w końcu uczuł wstręt i obrzydzenie na widok tej bezgranicznej pokory i uległości i chociaż nie przestawał jej kochać, na swój sposób, mimo to jednak pewnego razu w przystępie gniewu wybił ją i wypędził. Ona poszła — do przyjaciela, pobrali się rychło, już i dziecinę mają...

— I ona przeklęta, jest z nim szczęśliwa! mruczał Bowdur.

Oboje tacy... rozmazani! nie warci mego wspomnienia! Ileż to razy przysięgał sobie, że nie wspomni o nich, a oni tymczasem ciągle mu na myśl przychodzą! Bo wszyscy troje siłą kontrastu z sobą spokrewnieni, dopełniali się nawzajem, bo w sercu jego pod grubą lodową, dotychczas jeszcze tli niewygasła iskra miłości dla tych dwojga ludzi!

Po utracie dziewczyny wszystko się naraz dla niego skończyło, wszystko poszło odmienną koleją. Rozpił się. Och, na szatana! tęgo pił! Bywało przyjdzie rano z roboty — nocami pracował w szybie — i zaraz do szynku.

— Żydzie, dawaj jeść!

— Dobrze.

— Żydzie, dawaj wódki! I pije, póki w kieszeni staje grosza, póki się może utrzymać na nogach. A kiedy wreszcie i nogi odmówią służby,

pada pod ławę i śpi do wieczora, póki go znowu nie zbudzą do roboty. Wygodnie mu z tem, nie potrzebuje wynajmować chaty. Żyd we dnie nie wyrzuci z szynku, chce psiawiara, żeby i na drugi raz zagościć do karczmy, a przytem żydowskie psy gębę obliżą i czysto!

Były to jedyne chwile, o których Bowdur wspominał z jakiemś pijanem zamiłowaniem. Ów okres wiecznego odurzenia, wiecznego zawrotu głowy i szumu dziwnego, wydawał mu się jedynym prawdziwie i zupełnie szczęśliwym okresem w całem życiu. Nic mu wówczas nie brakowało, a zresztą djabli wiedzą — może co i brakowało, ale on dalibóg o niczem nie wiedział. Bez myśli, bez wspomnień z szumem tylko w głowie klekocącym jak młyńskie koło bez ustanku... Turrrr-rr! I wówczas jak spojrzysz do koła — ludzie z chaty, słońce, niebo i świat cały kręcą się w kółko, w kółko, w kółko! Turrrr-rr! A po zatem nie ma nic, ani na ziemi, ani w niebie — nigdzie, nigdzie!

— Ach, gdyby raz jeszcze w życiu, przeżyć w ten sposób choćby dzień jeden, choćby chwilę tylko, Boże! — westchnął Bowdur. Zapomniałby człek o wszystkiem, a tu tymczasem wszystko zaczyna ożywać, wszystko się rusza! Albo coby to było, gdybym tak naprzykład wstał jutro z rana, a tu mi w głowie szumi, turkoce: turrrr! przed oczyma wszystko się mięsza w kółko, w kółko, — widzę, a nie poznaję, słyszę, a nie rozumiem, żyję, sam o tem nie wiedząc, i tak na wieki — na zawsze! Żeby i nie pić i wiecznie być pijanym! i o wszystkiem zapomnieć na zawsze!

— A kiedy nie, to i cóż? Niech lecą wspomnienia, póki lecą. Klin klinem wybijemy, — podlejszem się jeszcze stanie! Wyjścia innego niema... I pocóż go szukać?... Ale też za to na ostatek raz, ale... grrracko! Pięćdziesiąt bez dwóch szóstek... dalibóg warto!... Zresztą i tak nie mam nic do stracenia!...

— A moja młodość?... Ech, do djabła! Same tylko bodiaki, sama pokrzywa! Przekleństwo na nią!

— A oni oboje? Niech ich piorun trzaśnie! Porzucili, zdradzili nie warto wspominać!...

— Lecz może kiedyś jeszcze... byłoby lepiej?... Nie, nie spodziewać mi się! Próżna nadzieja! Przekleństwo na nadzieję!

— Ale on, — może ma ojca, matkę?... To i cóż z tego, — ja ich nigdy nie miałem!

— A może... jaka?... Tfu, do licha! miałżebym na to zważać? A cóż mi do tego? Niech wychodzi za drugiego! A może?...

No cóż jeszcze? Nic więcej! Czysto! w kółko, w kółko, w kółko!... Och jakże boli, jak piecze i ściska! I tu, i tam, i ówdzie, — wskróś po całem ciele!...

Noc już zapadła była dawno — północ. Aresztanci spali jak przywaleni kłodami. Spał i Andrzej i nie słyszał tego urywanego monologu, tych półgłośnych szeptów, nie słyszał i nie wiedział zapewne jak straszne męki cierpiał ten człowiek zdziczały wskutek nędzy, która przyprowadziła go do ostatecznej rozpaczy. A jednak kto wie, gdyby Andrzej słyszał te słowa, gdyby się zastanowił nad tą straszną męczarnią człowieka, może jedno jego słowo potrafiłoby ją ukoić i powstrzymać straszne następstwa. Lecz Andrzej w tej chwili właśnie spał spokojnie obok Mytra i we śnie obejmował swoję niby, a jednak nie swoję Hanię...

XI.

Znowu dzień, gwar, przekleństwa i śmiechy, pobrzękiwanie kłódki, krzyki, robota. I znowu Andrzej chodzi po kaźni blady, osłabiony w skutek braku powietrza, chodzi i myśli. Suchy kaszel poczyna go dusić w piersiach, a myśli plączą się w nieładzie po głowie. Czuje jakieś straszne omdlenie w całym organizmie, wszystko zaczyna mu ciężyć ołowiem. Ach, gdyby odpocząć, poleżeć wygodnie, spokojnie, pod pogodnem niebem, na wolnem, czystem powietrzu, w cienistym chłodzie!... Sny jego czarowne bledną, napróżno stara się im nadać w swej wyobraźni dawne, żywe kształty. Nawet postać Hani nie chce mu się ukazać przed oczyma duszy; i zamiast uroczej jej twarzyczki widzi jakieś dzikie, potworne oblicza, brudne z rozczochranym włosem, z wyrazem pełnym jakiejś strasznej groźby. Położył się w końcu na łóżku otworzył szeroko oczy i utkwił je w sufit starając się o niczem nie myśleć. Lecz nagle sufit zaczyna się ożywiać: zwężać, to znów rozszerzać, porusza się i zwolna na brudno-żółtem tle jego z gęstego mroku występują te same ohydne, groźne oblicza; schylając się nad nim jak trupy nieme i milczące. Zrywa się więc i znowu zaczyna chodzić.

— Co się ze mną dzieje? mówi sam do siebie. Wszak nie byłem nigdy skłonnym do halucynacji! Dlaczego te widma teraz mię prześladują? Czyż zgryzota mogła mię tak rychło pozbawić trzeźwości umysłu? Wszakże o ile wiem nie gryzę się nawet tak bardzo!...

A Bowdur tymczasem leży w swym kącie i również myśli. Ot, kiedy już będę miał pieniądze, dopieroż będzie sztuka schować je tak, żeby nie znaleźli i nie odebrali. Ale co mi mają odebrać, kiedy się nikt nie domyśli. Trzeba będzie udać warjata, albo cokolwiekbądź zresztą, potem już wszystko pójdzie jak z płatka! Zresztą poradzimy sobie jakoś. Byle tylko dobrze schować, a potem jeszcze by sobie człek raz pozwolił, ale uczciwie, tak żeby starczyło za wszystkie razy!

Więc nasamprzód chleba, pięknego, białego, — nie, — bułek lepiej, ale dużo, dużo, żeby się najeść do syta. Kiełbas, mięsiwa pełne miski z czubem! A potem piwo, wino butelkami! A co chwila nowa butelka na stół, ażeby w głowie szumiało wiecznie, wiecznie się kręciło, żeby o wszystkiem zapomnieć, żeby nic nie mąciło spokoju głowy! Świat cały zakręci mi się w kółko, w kółko — aż póki nie przyjdzie koniec. A koniec — co tam koniec? Jedna chwilka! Nie obawiam się go wcale, byle tylko w głowie szumiało i kręciło się... A zresztą zobaczymy!

— Ale on taki młody, taki dobry!... odezwał się cicho jakiś głos nieśmiały z głębi Bowdurowego serca.

— Cóż u djabła! Alboż ja nie młody? odpowiedział mu na to głos drugi. On był zawsze szczęśliwym, tyle szczęścia ile on doznawał co dnia, ja i przez całe życie nie zaznam! To niesprawiedliwie, trzeba się teraz pomieniać losem.

— Lecz możeby niekoniecznie?... zarzucił znów nieśmiało cichy, głęboki głos, płynący z głębi duszy.

— Albo co? Po co się długo bawić? odparł głos drugi, donośny, przygłuszający wszystkie inne. Dla nas obu tem lepiej będzie, im prędzej się wszystko skończy!

— A może on ma ojca, matkę?... Niech ich sto djabłów porwie! Niech poznają co to ból i cierpienie! Ja ich tam nigdy nie miałem i nie mam, a czyż nie jestem człowiekiem?...

Ale o dziwo! Chociaż przemagający głos wewnętrzny tak dosadnie starał się go uspokoić i utwierdzić w raz powziętym zamiarze, Bowdur jednak zawsze czegoś drżał na całem ciele, spoglądając na Andrzeja i trwożnie ściskając w dłoni, jakiś przedmiot, którego się sam lękał, a jednak strzegł jak oka w głowie.

— Jeść mi się chce, okrutny głód mię pali! mruczał! To ten przeklęty swym chlebem wzbudził we mnie taką żarłoczność nienasyconą! A wydaje się takim dobrym i łagodnym! Stój nieszczęsny! nie pomoże ci twoja dobroć, nie zwiedzie mię ona!...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do kaźni wsunęła się głowa starego policjanta o dobrodusznym wyrazie twarzy.

— Panie Temera! przemówił łagodnie. Temera ocknął się z zadumy. Zdawało mu się przez chwilę, że słyszy głos rodzonego ojca, głos, który niegdyś, dawno słyszał za lat dziecinnych. Zbliżył się więc do drzwi i spojrzał na twarz policjanta, ale napróżno wysilał pamięć, twarz ta nie była mu znaną.

— Cóż, nie możecie mię poznać? No zapewne, byliście jeszcze malcem, kiedym się to wyniósł z Tarnopola. Z nieboszczykiem ojcem

waszym byliśmy sąsiadami i przyjaciółmi szczerymi od serca! Świeć Panie nad jego duszą! Ale co się to z wami stało? Uszom własnym wierzyć nie chciałem, gdy mi powiedzieli, że siedzi tutaj Temera z Tarnopola! Co za Temera? myślę sobie. Tam był jeden tylko Temera. Zapewne to syn jego, albo krewny! Biedny chłopcze! I posadzono was tutaj między takie plugawstwo! Ale prosiłem już pana inspektora, jakoż obiecał mi, że od jutra będziecie siedzieli na strażnicy, ja za was ręczę.

Temera podziękował serdecznie staremu; po twarzy zaś Bowdura przeleciało coś w rodzaju trwogi, jakby uczuł, że wymyka mu się z rąk pewna zdobycz.

— A możeby wam co przynieść z miasta? pytał dalej stary. Dzisiaj ja mam w zastępstwie kaprala klucze od kaźni, mógłbym więc wam przynieść, czegobyście tylko zażądali. Namyślcie się więc dobrze, a ja rychło wrócę, pójdę jeno na chwilę do kancelarji.

Stary zamknął drzwi i powlókł się do biura. Andrzej aż powesełał: lżej mu się na sercu zrobiło, gdy usłyszał owe przyjaźne, szczere słowa i przekonał się, że i tu znalazła się poczciwa dusza, która mu sprzyja.

Ach, jak się ucieszył wiadomością, że jutro opuści tę jaskinię i uda się na strażnicę! Zdawało mu się, jakgdyby już miał wyjść na wolność. Światło, powietrze, zieloność, żywa przyroda, owe codzienne, zwykłe rzeczy jakże drogiemi, jak pożądanemi były w tej chwili dla biednego Andrzeja!

— Panie! wyrwał go nagle z zadumy ostry głos Bowdura. Każcie przynieść wódki, całą kwartę, będziemy mieli na parę razy.

— A wolnoż tu przynosić wódkę? zapytał Andrzej.

— Czemuż nie! Stary przyniesie!

Andrzej sam nie pijał wódki, ale wiedział, że dla reszty więźniów będzie to prawdziwą ucztą, jeżeli wypiją choćby po kieliszku tylko, poprosił więc starego, ażeby przyniósł wódki i kiełbasy. Stary wahał się z razu, czy ma przynieść całą kwartę, ale kiedy go Andrzej zapewnił, że sam uważać będzie, by aresztanci nie pili zbyt wiele na raz, przedstawiając mu zresztą, że kwarta wódki dla dziewięciu ludzi nic nie znaczy, — zgodził się uczynić zadość jego żądaniu.

Południe. — Gwarząc wesoło zasiedli aresztanci do spożywania przyniesionej żywności. Na widok niezwykle wspaniałej uczty, oczy wszystkich zaświeciły radością. Dziękowali Andrzejowi za jego dobre serce. Tylko Bowdur siedział w swym kącie, jak kamień nieruchomy, napawając wzrok swój widokiem flaszki z wódką. Naraz zerwał się, chwycił oburącz flaszkę, przyłożył ją do ust i począł pić chciwie. W pierwszej

chwili wszyscy osłupieli z podziwu, ale potem rzucili się, chcąc wyrwać mu z rąk flaszkę. Lecz nierychło udało im się dokonać tego. Większa część przyniesionej wódki zniknęła w oka mgnieniu w gardle Bowdura.

— A bodaj cię sucha jodła przygniotła! zaklął dziad Pańko. Cóż to, nie możesz zaczekać aż kolej przyjdzie na ciebie?

— A — a! odsapnął Bowdur. Bóg zapłać! To po dawnemu, po borysławsku! Jakby kto po wszystkich żyłach mię pogłaskał, a w głowie pieni się, szumi turrr!... Po tych słowach chwycił kawał kiełbasy, pochłonął go żarłocznie i zataczając się legł napowrót w swym kącie. Długo jeszcze gwarzyli aresztanci częstując się wódką, długo wyrzekali na przeklętego Bowdura, lecz ten leżał nieruchomie w swym kącie, patrząc bezmyślnie przed siebie i nie zważając na ich przekleństwa.

— Gdzie się też mógł podzieć mój scyzoryk, zawołał Andrzej szukając po kieszeniach, miałem go jeszcze nie dawno, ale widocznie musiałem gdzieś zgubić! i nie mam teraz czem chleba ukroić. Scyzoryk zresztą nie wiele był wart, nie taka więc szkoda jak niewygoda.

— Poszukajcie panie dobrze, rzekł dziad Pańko, scyzoryk nie igła, nie powinien zginąć w kaźni.

Lecz napróżno szukano — noża nigdzie nie było.

— No, to ukrójcie panie moim kozikiem, a potem już poszukamy odezwał się Mytro. Kiedyście spali musiał wpaść pewnie dziurą do siennika. U nas nie trudno o to, a spojrzcie tylko panie jaki ten sienniczyna dziurawy!

— I to być może, rzekł dziad Pańko. Trzeba będzie potem poszukać.

Ale aresztanci tak byli zajęci wesołą gawędką przy wódce i jedzeniu, że zapomniawszy o nożu położyli się wkrótce i zachrapali smacznie. Zasnął i Bowdur. Jeden tylko Andrzęj, który nie pił wódki, chodził po kaźni weselszy i zdrowszy niemal z powodu wesołej nowiny, zwiastującej mu z dniem jutrzejszym wydobycie się z tej przebrzydłej nory.

— Ech, gdyby to wnet ujrzeć się zupełnie wolnym! wyszeptał z westchnieniem... Zaczęłaby się nowa praca, nowe plany i przecie w końcu doczekalibyśmy się lepszych rezultatów. Należałoby się jednak wziąć porządnie do pracy, związać się społem i nie tracić na uboczne sprawy ani czasu, ani pieniędzy!

Trzeba się dużo uczyć, zdobyć sobie wiedzę, ale nie tę martwą szkolną wiedzę, lecz tę, od której wieje innym jakimś, świeżym orzeźwiającym duchem, porywającym całą naszą istotę moralną. Pod wszechpotężnym wpływem tej wiedzy budzą się do życia młode siły i walą taranami o odwieczną ścianę przesądów, która przez setki lat zasłaniała ludziom

oczy. Oby co rychlej doczekać się ostatniego ciosu! Oby jak najprędzej nastała wolność, jak dzień jasna, jak świat szeroka, widząca do koła siebie bratnią miłość ludzi!...

— Czemże jest mrówcza nasza praca wobec tak potężnych celów? Cóż wobec tego znaczą drobne nasze męki, całe nasze życie? Drobny pyłek, w porównaniu z olbrzymią górą! Każda góra jednak składa się z drobnych pyłków. Praca jednostki nie pójdzie więc na marne, jeżeli na atom choćby tylko przyczyni się do przyśpieszenia rozwoju wielkiego dzieła!

— A może wszystkie nasze myśli, dążności i nasze walki serdeczne są takim jedynie błędem, jakich już tysiące przeleciały szalonym wichrem nad biedną ludzkością? Może praca nasza nie przyniesie żadnych owoców? Może budujemy drogę poza gościńcem, wznosimy miasto na bezludnej wyspie? Może najbliższe nasze pokolenie pójdzie odmiennym torem i pominie nas, jak się mija grobowy pomnik jałowych dążeń ludzkich?... Och, myśl podobna ściska serce, wygryza mózg! I na tę ostateczność jednak musimy być przygotowani, a jeśli ujrzymy, że droga nasza nie mija się z przyrodzonemi prawami ogólnego rozwoju, z odwiecznem dążeniem ludzkości do jak największego szczęścia — wówczas, zwróćmy bez wahania usiłowania nasze na właściwe tory!...

— Póki zaś nie mamy jeszcze tego smutnego przeświadczenia, idźmy naprzód śmiało. Byle się wydostać na wolność! Zrobimy, co będzie można. Byle tylko odważnie, sumiennie, szczerze i rozumnie, — a reszta — nie od nas zależy!...

XII.

Noc zapadła. Śpią aresztanci, oddychając z trudnością ciężkiem, gęstem powietrzem. Czasem ten lub ów zakaszle suchym, uporczywym kaszlem, obróci się na drugi bok, westchnie głęboko, jęknie lub krzyknie przez sen. W kaźni panuje głęboka ciemność, na dworze bowiem pochmurno i duszno, a od dalekich gór dolatuje echo głuchych piorunów i grzmotów.

Bowdur tylko nie śpi. W czarnej jego duszy ciemniej i straszniej niż w izbie więziennej; myśl jego znużona długą męczarnią, oszołomiona wódką nie szybuje tak raźno jak wczoraj, wspomnienia umilkły jak zaklęte. Usiadł na swym barłogu trzymając w dłoni nóż Andrzeja o długiem, wązkiem ostrzu. Palce jego od czasu do czasu dotykają żelaza, jakby próbowały czy dostatecznie jest ostrem — drży przytem na całem ciele jak w febrze i oblewa się zimnym potem. Czeka aż na dworze i w kaźni zalegnie zupełna cisza, czeka aż nastanie głucha północ.

— Tam w górze grzmi — mruknął ponuro, — przy grzmotach sen twardszy. I jabym zasnął... Och, gdyby tak zasnąć na długo, na wieki!... A ktoś tu dzisiaj tak zaśnie! Ostatnie słowa uderzyły go strasznem swem brzmieniem, wzdrygnął się i zamilkł.

— Tam do licha — ciągnął dalej po chwili, — co to za szatańska rzecz te słowa! Wymówisz jakieś głupie słowo i zaraz zlodowaciejesz cały, jakbyś coś okropnego zrobił. A gdy myślisz bez słów, to nic cię nie trapi, oko przywyka. Do najstraszniejszych nawet rzeczy, a ucho, bieda z niem, zaraz się buntuje!...

— Ale co mi tam, wszystko to bajki, byle tylko pieniądze! Strach, jacy ci ludzie niemądrzy! Ten oto naprzykład.... Tyle ma pieniędzy, a czyliż umie z nich korzystać? Kupi tam trochę tego lub owego, i sam nie je! Jabym zrobił inaczej! Ech, tobym sobie jeszcze użył, bodaj przez kilka dni tylko! I użyję, dalibóg użyję! Ano, możeby już czas?...

Podniósł się na barłogu i począł nadsłuchiwać. Zrazu nic nie słyszał, po chwili jednak doleciał go głos policyantów odbywających straż nocną, którzy rozmawiali głośno na ganku.

— No i cóż, — mówił jeden, — nie zastali już tego biedaka przy życiu?

— Nie, był jeszcze co prawda trochę ciepły, gdy przybiegli, ale gardło miał przerznięte do kości!

— Wielki Boże, — zawołał drugi, — chyba już koniec świata się zbliża! Tak się już ludzie zepsuli, tak jeden na drugiego powstaje, a brat brata nienawidzi! Trzeba być bez serca chyba, żeby zabijać takiego młodego....

Wtem rozległ się huk piorunu i Bowdur nie mógł dosłyszeć dalszej rozmowy. Zdjęła go okrutna trwoga. Skulony w kącie dzwonił zębami, oczekując w przerażeniu rychło policjanci odgadłszy jego zbrodnicze zamiary, wpadną do kaźni i zasieką go żywcem. Zwiesił ręce bezwładnie, z dłoni wysunął mu się nóż i upadł na podłogę. Dźwięk stali przeraził go więcej niż piorun. Usiadł w najciemniejszym kącie, skulił się, przymróżył oczy, zatkał uszy, usiłując się pozbyć wszelkich zewnętrznych wrażeń i wkrótce sam o tem nie wiedząc, zdrzemał się na chwilę.

Nagle zerwał się gwałtownie i omal nie krzyknął na całe gardło. Śniło mu się, że przechodził w bród krwawą jakąś rzekę; był już w połowie drogi, kiedy wtem nagle natrafił na głębię i zaczął tonąć. Krew ciepła, żywa, burząc się i falując złowrogo do koła, zalewa go, wciska się do ust i oczu — chciałby się ratować, czuje jednak. że krew jak smoła oblepiła mu ciało, ubezwładniła ręce i nogi. Czuł, że tonie i — zbudził się nagle.

— Ha, jaki straszny sen! Duszno mi!... Ale co mi tam sen, pusta mara!... A może teraz już czas zacząć?

Podniósł się znowu, nadsłuchując uważnie. Nic nie słychać prócz oddechu śpiących. Schylił się, szukając noża po podłodze. Wnet jednak jak oparzony podniósł dłoń w górę. Uchwycił był starego żyda za gardło i uczuł jak pod palcami bije mu krew gorąca i krtań porusza się, jakby strwożona jego dotknięciem.

— Niech cię Bóg skarze żydzie psiawiaro! — mruknął Bowdur. — Takem się tego oddechu przeląkł, jakbym gadzinę ręką pochwycił. Tfu na ciebie!

Schylił się powtórnie i po długiem szukaniu namacał wreszcie scyzoryk. A potem zcicha, na palcach skradał się do łóżka, gdzie spał Andrzej, obmacał go najprzód, czy nie śpi z Dmytrem w objęciach, a przekonawszy się, że leży wolno, pochwycił wpół, uniósł w górę jak dziecko i lekko położył na ziemi.

— Tak, tu będzie lepiej, — mruczał. — Tam trzepocząc się, rozbudziłby drugich.

Andrzej spał twardo, dotknąwszy jednak głową wilgotnej posadzki drgnął, szepcząc przez sen: Haniu, ratuj!...

Bowdur sądząc, że już się obudził, w jednej chwili przygniótł mu pierś kolanem, lewą ręką uchwycił za gardło, a prawą pociągnął z całej siły po krtani. Andrzej zatrząsł się całem ciałem i krzyknął, ale nie głośno, gardło miał bowiem zdławione. Krew buchnęła strumieniem i oblała ręce Bowdura. Ten, widząc że Andrzej się jeszcze silnie szamoce, raz jeszcze pociągnął po gardle ofiary.

— Gdzie są pieniądze? Dawaj, dawaj! — szeptał nad uchem nieszczęśliwego.

— Och! — jęknął Andrzej, — pieniądze... w sta... rostwie... odebr...

Nie dokończył. Ostrze noża w tej chwili przecięło mu krtań i żyły do kości. Krew silniej buchnęła, drgania ciała słabły co chwilę, aż wreszcie zupełnie ustały. Andrzej Temera już nie żył... A jego myśli, jego nadzieje, czy i one wraz z nim zginęły? Nie! bo owe myśli to ludzkość cała, a on snując je, jak pająk swą przędzę, był tylko małą cząsteczką tej wielkiej ludzkości. Życie jej na tem właśnie polega, że kiedy jedne cząstki giną, inne zajmują ich miejsce i tak ciągle bez przerwy, wiecznie....

Bowdur tymczasem klęczał nad trupem Andrzeja jakby piorunem rażony. Pieniądze odebrano w starostwie, a więc na próżno zamordował człowieka!... I nagle jakby łuska spadła z oczów nieszczęśliwego mordercy....

Co on zrobił?... Dlaczego odebrał życie temu człowiekowi? Jaki przeklęty obłęd popchnął go do tego kroku?

Długo klęczał Bowdur bez ruchu, i myśli, nad trupem Andrzeja, sam podobny raczej do trupa. Prawa ręka ciągle jeszcze ściskała skrwawiony nóż, podczas gdy lewa oblana ciepłą krwią, konwulsyjnie ściśnięta dławiła stygnące gardło młodzieńca....

Naraz jakaś dłoń lodowata dotknęła jego ramienia i na wpół senny, głęboki głos przerwał głuche milczenie zapytaniem: Co tu robisz, Bowdurze?

Był to głos Stebelskiego, którego obudziły jęki konającego.

Bowdur nie odpowiadał, nie drżał, nie lękał się, klęczał tylko nieruchomie nad ciałem ofiary.

— Co tu robisz? — pytał Stebelski, wstrząsając parę razy Bowdurem.... Dlaczego nie śpisz?

Głos Stebelskiego i dotknięcie zimnej jego dłoni zdawały się budzić zwolna Bowdura z osłupienia. Drgnął, podniósł w górę głowę, odetchnął ciężko i przemówił łagodnym, prawie wesołym głosem, w którym nie było ani śladu dawnej, dzikiej szorstkości: Poczekaj, wnet zobaczysz zabawną komedję.

— Jaką komedję? zapytał cicho Stebelski.

— Zaraz będziesz widział.

Wstał, przekroczył trupa, zbliżył się ku drzwiom i obiema pięściami, niby młotami zaczął w nie walić co siły.

Nagłe stukanie zagłuszyło szum burzy, szalejącej na dworze, wszyscy aresztanci zerwali się na równe nogi.

— Co się stało, co się stało? pytali przerażeni.

— A pan gdzie? Gdzie pan Temera? — pytał Mytro, nie mogąc się domacać Andrzeja.

Ale Bowdur nie słyszał ich rozmowy, ciągle jeszcze stał przy drzwiach, waląc w nie z całej mocy pięściami.

— Czyś ty oszalał, co się stało? — krzyczał dziad Pańko. — Czego stukasz? Co to ma znaczyć?

— To ma być jakaś komedja, — odpowiedział Stebelski, nie wiadomo tylko jaka.

Z wartowni dały się słyszeć krzyki i przekleństwa. Kapral zbudzony piekielnym hałasem, pochwycił latarnię, i jak stał w bieliźnie, pośpieszył pędem na miejsce, skąd słychać było ogłuszający stuk i wrzawę.

— Jaki tam djabeł stuka do drzwi? krzyczał. A stukałoby ci po kiszkach? Czego chcesz?

— Otwórz! — krzyknął Bowdur, nie przestając grzmocić.

— A nie będziesz tam cicho przeklęta hydro jakaś! O, bo źle będzie jak otworzę!

— Otwieraj! Słyszysz? — nie przestawał krzyczeć Bowdur i grzmocił pięścią w przybitą wizytyrkę, tak że prysnęła o przeciwną ścianę.

— A ty złodzieju jakiś! — wołał zaperzony kapral, postawił latarnię na podłodze i począł otwierać kłódkę pieniąc się z gniewu, Bowdur bowiem przez cały ten czas nie przestawał stukać pięściami. Zaledwie jednak kapral otworzył drzwi i schylił się po latarnię, kiedy naraz Bowdur rozwarł drzwi na oścież i zaciśniętą pięścią uderzył kaprala między oczy, tak że ten upadł nieprzytomny na posadzkę, a lampa wysunąwszy mu się z rąk, rozbiła się i zgasła.

— Mówiłem ci, otwieraj! Czemuś się nie śpieszył! Masz teraz! — przygadywał Bowdur, trzymając drzwi na oścież otwarte.

— Gwałtu! Ratujcie! Rozbój! Gwałtu! — wrzeszczał kapral. Nadbiegli policjanci z latarniami.

— A to ty przeklęty Bowdurze! — zawołali jednogłośnie rzucając się na niego, lecz ten jednym susem był już w kaźni. Tłum rzucił się za nim z latarniami.

Ale zaledwie dawno nie widziane światło latarni żółtym blaskiem oświeciło izbę, policjanci stanęli jak wryci i wydali mimowolny okrzyk przerażenia.

Na środku kaźni leżał skrwawiony trup Andrzeja, a obok niego klęczał Bowdur i nurzał dłonie w krwi zabitego.

— Boże, co się tu stało?! — wyrwało się naraz ze wszystkich piersi.

— Ja to zrobiłem, ja, — szeptał z cicha Bowdur.

— Nie wierzycie? Oto nóż, patrzcie — jego własny!...

— I za cóż potworze, za co pozbawiłeś go życia? — zapytał dziad Pańko. Bowdur atoli jakby nie słyszał, albo nie rozumiał pytania, klęczał nad trupem i wpatrywał się w jego blade nawet po śmierci jeszcze piękne oblicze. Jakaś dziwna, a nagła zmiana zaszła w tym człowieku. Rysy jego, zdawały się mięknąć, łagodnieć... Z oczu znikł zgniły blask świecącego próchna...

Ponure, gniewne zmarszczki na czole wyrównywały się... Zdawało się, że znowu ludzki duch wstępuje w to ciało, które dotychczas było siedliskiem, jakiejś dzikiej zwierzęcej duszy. I nagle łzy gradem stoczyły się po obliczu Bowdura... Przypadł twarzą do skrwawionego oblicza Andrzeja i gorzko, rozpaczliwie zapłakał.

— Bracie mój! Cóżem ja z tobą uczynił! Za co cię pozbawiłem życia? Święta ty, jasna duszyczko, — przebacz mnie, potworowi! Cóżem ja zrobił, com zrobił, Boże — cóżem ja zrobił?

Gorżkie, palące, a rzewne łzy, które długi czas dławiły mu gardło puściły się teraz potokiem, mięszając się z stygnącą krwią zamordowanego; okropna zbrodnia — straszny cios, dokonały w Bowdurze tego, czego nie mogły zrobić szczere łagodne słowa — obudziły znów w piersiach jego — człowieka i stopiły dokoła serca lodową skorupę, którą wytworzyła tam długoletnia niedola i poniżenie ludzkiej godności...

Przez chwilę jeszcze stali więźniowie i policjanci jak osłupiali wobec tej wstrząsającej do głębi sceny, słuchając łkań Bowdura. Ale się rychło opamiętali.

— Wybieraj się paniczu! — zawołali naraz. Już tu dla ciebie nie ma miejsca. Czas ci się przenieść do innego mieszkania. Nie pora teraz płakać!

Bowdur podniósł oczy i gniewnie, a boleśnie spojrzał na zgromadzonych.

— Przekleństwo na was siepacze! — odezwał się. Spójrzycie -- to mówiąc przyłożył rękę do ziejącej rany Andrzeja i przedzielił ją dłonią w poprzek na dwie połowy — spójrzcie oto moja część, a oto wasza! Nie bójcie się, ja tutaj odpokutuję za obie, ale jest jeszcze inny sąd, co rozpozna, która część do mnie a która do was należy!...

Brzęknęły ciężkie kajdany i Bowdur spokojny jak dziecko, pozwolił się w nie okuć bez oporu. Podczas tego aresztanci żegnali się i odmawiali modlitwy nad trupem, tylko Mytro płakał gdzieś w kącie, a Stebelski siedząc nieruchomie na swym barłogu, milczał długo, aż w końcu odezwał się uroczyście grobowym głosem:

— Pereat homo, crescat humanitas!

KONIEC.